płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30 · VI · 1985 | 12

Rys. Wiesław Majchrzak

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

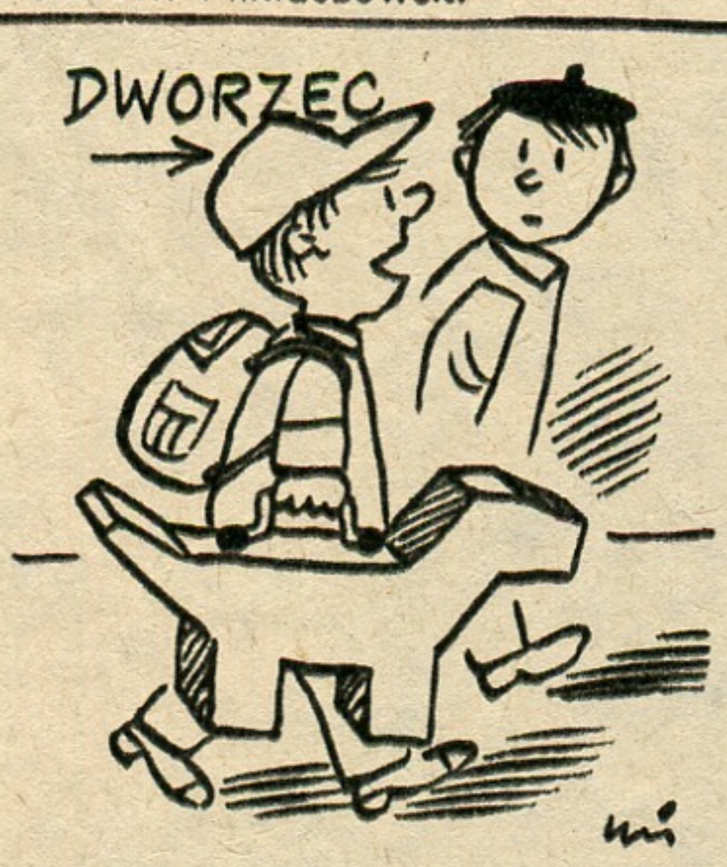

— Zawsze mojego Azora zabieram z sobą.

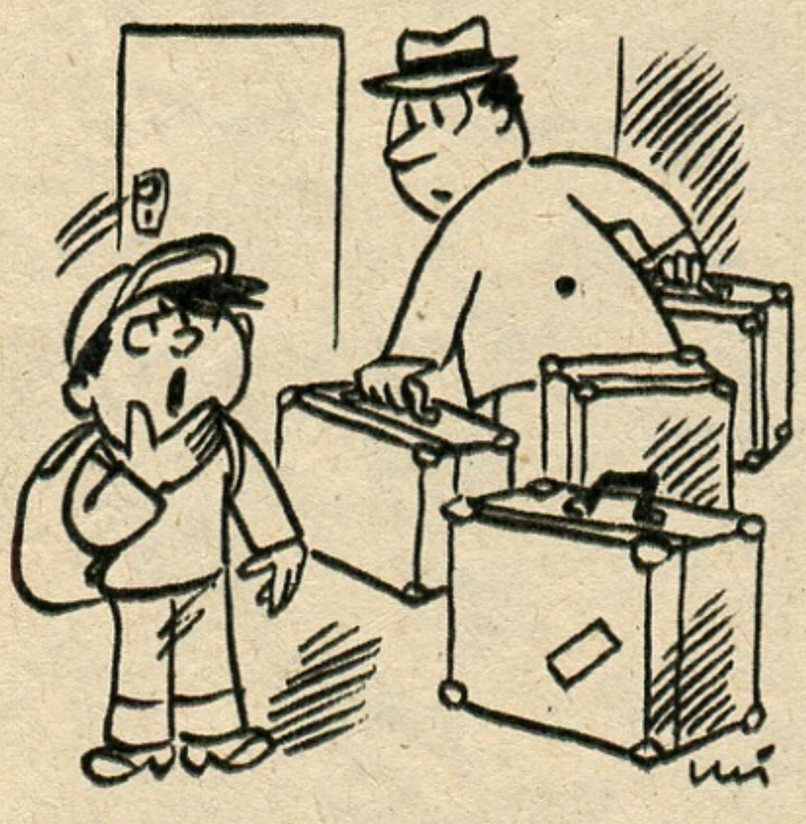

— Nie mogę sobie przypomnieć, do której walizki włożyłem naszego kotka.

Przerwa w podróży!

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

CHUSTECZKI higieniczne do nosa nasączone specjalną antywirusową substancją, która zapobiega ze znakomitym skutkiem katarowi, ukazały się w Stanach Zjednoczonych.

Chusteczki impregnowane nie tylko zwalczają katar, ale zapobiegają szerzeniu się tej choroby. Katar przenosi się bowiem nie tyle przez kichanie czy kaszel, ale przez bezpośredni kontakt osoby chorej i zdrowej, także przez przedmioty dotykane uprzednio przez osoby chore.

●

PAT-DOG (po polsku znaczy — pies do głaskania), to nazwa organizacji istniejącej w Wielkiej Brytanii. Należą do niej właściciele bardzo łagodnych psów, którzy razem ze swoimi czworonożnymi ulubieńcami odwiedzają żłobki, przedszkola, domy dziecka, domy dla ludzi starszych. W czasie takiej wizyty każdy może pogłaskać psa, przytulić go do siebie i pójść z nim na spacer.

●

W CZASIE jednej kąpieli w wannie zmywamy z naszego ciała wraz ze złuszczonym naskórkiem 100 mln bakterii.

MRUGNIĘCIE oka nie trwa tak krótko, jak się wydaje. Trwa dwie trzecie sekundy. Fala radiowa obiega dookoła Ziemię w ciągu jednej trzeciej sekundy.

●

PRZECINEK nieraz sprawia Wam wiele kłopotu przy pisaniu wypracowań. Jest najczęściej stosowanym znakiem interpunkcji. Po raz pierwszy użył przecinka, żyjący na przełomie XV i XVI wieku, włoski drukarz i wydawca Aldus Monatius.

Drukarz ten wynalazł również pochyłe pismo drukarskie zwane kursywą. Zwróćcie uwagę, jakie teksty w tym numerze są pisane kursywą.

●

JAPOŃSKA firma „Toyota" po raz pierwszy na świecie zainstalowała monitor telewizyjny na desce rozdzielczej nowego modelu samochodu „Soares 300 GT". Na ekranie telewizora można oglądać między innymi prędkość, pokonaną drogę i zużycie paliwa. Można na nim oglądać również normalny program telewizyjny lub z kaset wideo, ale tylko podczas postoju.

Nasza okładka:

Życzymy wspaniałych wakacji!

Szumią dęby,
Pachną jodły
I szeleści buk.
Dzięcioł chodzi
Po pniu drzewa
I dziobem stuk-puk!

Idę, idę
Po mchu miękkim
Przez zielony las.
Szumią brzozy,
Pachną lipy.
Drzewa, witam was!

Janina Porazińska

(fragment wiersza
pt. „Biegnę, biegnę...")

Rys. Barbara Kuropiejska

NA RYBY Z KUMEWAWĄ

Nie wiem, dlaczego ten chłopak właśnie mnie sobie upodobał, ale o świcie, przed wschodem słońca, zawołał:

— Czy Nikuczap chce iść z Kumewawą na ryby?

Nikuczap znaczy w języku Indian Karażów — brodacz, gdyż w tym czasie miałem duży zarost, podczas gdy Indianom broda nigdy nie rośnie.

Oczywiście, z przyjemnością przyjąłem zaproszenie. Kumewawa był mi sympatyczny od pierwszej chwili. Już przygotował swoje kanu wraz z przyborami rybackimi na dnie. Przybory te to łuk i kilka strzał oraz harpun, czyli oszczep przywiązany długą linką do dziobu łodzi. Harpunem łowi się duże ryby.

Mały Indianin siadł na rufie, skąd przy pomocy niedużego wiosła zręcznie sterował wąską, wywrotną łodzią, wydrążoną z pnia drzewa. Poranne powietrze było świeże, orzeźwiające w tej gorącej krainie. Po obu brzegach rzeki Araguaia wznosiła się ciemna ściana zielonej gęstwiny: dżungla ze swoimi drzewami, zaroślami i gęsto splątanymi najrozmaitszymi roślinami. Płynęliśmy wzdłuż lewego brzegu i wyraźnie słyszeliśmy głosy zwierząt.

— Ten, co tak się wydziera, nazywa się małpa wyjec — rzekł Kumewawa. — Zaraz tam będziemy.

Dał mi znak, żebym silniej wiosłował, a sam cichutko skierował kanu ku brzegowi i pod drzewo, którego rozłożysta korona zwisała nad rzeką. Przybiliśmy do brzegu.

— Widzisz? O, tam siedzi, w kucki.

Gdzieś wysoko spostrzegłem na gałęzi wyjca.

Ale rozczarowałem się. Sądząc po głosie wyobrażałem sobie, że małpa ta jest duża jak lew. A tymczasem była zaledwie wielkości średniego psa.

Podczas gdy siedzieliśmy pod drzewem i obserwowaliśmy małpę, nadleciały dwa tukany. Dziwne to ptaki. Upierzenie mają czarne, z żółtym kołnierzem, a dzioby żółte, tak długie i szerokie, jak całe ich ciało. Gdy tukan leci, wydaje się, że to dziób wlecze za sobą ptaka. Mimo to ten duży dziób wcale nie przeszkadza tukanowi w locie, gdyż jest pusty i bardzo lekki. Jakby chciał swoim wielkim dziobem spłoszyć drapieżne ptaki.

Chłopiec wskazał jakiś krzak. W pierwszej chwili niczego tam nie mogłem dostrzec. Wreszcie spostrzegłem na gałęziach mnóstwo małych ptaszków. To kolibry. Ćwierkały zapamiętale.

Nagle umilkły. Inne ptaki i zwierzęta również. W dżungli zapanowała cisza. Tylko dwie małpy na gałęzi coś cicho, nerwowo szeptały.

— Uciekajmy stąd czym prędzej! Zwierzęta ostrzegają przed niebezpieczeństwem! — powiedział mój mały towarzysz.

Odbiliśmy się wiosłami od brzegu i zatrzymaliśmy pośrodku rzeki, ciekawi, co się stanie.

Po chwili gęstwina leśna rozwarła się i spośród liści wyłonił się potężny, mocarny jaguar.

Poruszał się wolno, majestatycznie.

— Jaguar, król dżungli — przedstawił mi go Kumewawa szeptem.

Zwierz powoli zsunął się na brzeg i pochylił, by napić się wody. Wstrzymaliśmy oddech. Chyba to samo zrobili wszyscy mieszkańcy puszczy, gdyż cisza panowała dokoła.

Dopiero gdy jaguar zniknął w gęstwinie leśnej, dżungla ożyła. A myśmy wiosłując ruszyli w dół rzeki.

Po jakimś czasie doleciał do nas z dala jednostajny szum, coraz głośniejszy, wreszcie zamienił się w ogłuszający huk. Przeszło nam po plecach mrowie. Spojrzałem pytająco na małego Indianina. Na to on:

— Wodospad. Niebezpieczny dla tych, co nie znają rzeki.

Głazy sterczały z wody, a fale skakały z kamienia na kamień. Wartki prąd miotał naszym kanu to w prawo, to w lewo.

— Teraz nie wiosłować, Nikuczap!

Spełniłem żądanie i czekałem w napięciu. A mały manewrował swoim wiosłem tak zręcznie, że zdołał sprowadzić łódź na spokojniejszy nurt. Rosła nasza szybkość. W pewnej chwili wydało mi się, że lecimy prosto na skałę.

— Teraz wiosłuj! Wiosłuj, co sił, Nikuczap! — rozkaz jego ledwo docierał do moich uszu w potwornym huku wody.

Pracowałem wiosłem jak maszyna. Silne i zręczne uderzenia wiosła Kumewawy budziły mój podziw. Chyba jakieś dwa metry przed skałą, a może sekundę przed zderzeniem, zakosem wrył wiosło w wodę tak silnie, że łódź skręciła w lewo, przemknęła pół metra od skały, z którą na pewno by się zderzyła, gdyby syn puszczy nie wykazał w porę swej niezwykłej zręczności i przytomności umysłu.

Następnie po kilku manewrach przepłynęliśmy przez spienione fale i wypłynęliśmy na spokojniejsze wody. Ale byliśmy setnie zmęczeni. Kumewawa legł na rufie, a ja na dziobie, naprzeciwko niego.

— Gdyby nie twoja zręczność, rozbilibyśmy się — zauważyłem.

— „Wodę i zwierzęta trzeba opanować, jeżeli nie chcesz, żeby one opanowały ciebie" — powiada stary Indianin Maloa.

Podczas gdy kanu płynęło w dół rzeki, chłopiec wstał ze słowami:

— Tutaj głęboko. Będziemy łowić ryby!

Zgodnie z jego życzeniem usiadłem przy sterze i wolno wiosłowałem, stosownie do znaków, jakie dawał mi ręką, to w lewo, to w prawo. A on stał na samym dziobie z łukiem i strzałą w rękach. Brązowy kolor jego prawie nagiego ciała wspaniale harmonizował z porannym błękitem nieba. Proste, czarne włosy opadały mu na ramiona. Przez nozdrze miał przewleczony patyczek, a na obu policzkach widniały czarne kółka.

Jest to znak pozwalający rozpoznać się wszystkim członkom plemienia Karaża. Na głowie miał z jakiegoś liścia przepaskę, z której zza głowy wystawało długie orle pióro. Ubranie jego stanowiły dwie kwadratowe szmatki, jedna zwisała z przodu, a druga z tyłu, przewiązane sznurkiem dokoła bioder.

Stał spokojnie i wzrokiem badał głębokość wody.

Nagle Kumewawa wypuścił strzałę, która zniknęła w wodzie. Z zapartym tchem czekaliśmy, aż się wyłoni. Gdy pierzasty bełt wynurzył się, chłopiec dosięgnął go łukiem i przyciągnął ku sobie.

Na drugim końcu strzały trzepotała się półmetrowej długości ryba. Zdjęliśmy ją ze strzały i cisnęliśmy na dno łodzi.

I dalej płynęliśmy. W ciągu pół godziny Kumewawa złowił jeszcze pięć ryb, z których dwie były większe od pierwszej. W pewnej chwili jął dawać mi gwałtowne znaki, nakazujące mi

wiosłować w lewo. Jednocześnie odłożył łuk i strzałę, a wziął harpun. Sprawdził jego grot ze stali i drewniane drzewce oraz długą linkę, którą był przymocowany do dziobu łodzi.

Domyśliłem się, że musiał dostrzec jakąś wielką rybę. Przykucnął, żeby z bliska wpatrywać się w toń. Trwał tak z napiętą uwagą. Potem wyciągnął lewą rękę jak oszczepnik, zamachnął harpunem i z całej siły wbił go w wodę.

Kilka sekund nie wiedzieliśmy, czy trafił, czy nie. Wreszcie harpun, którego koniec wynurzał się z wody zaczął oddalać się od łodzi, a linka powoli rozkręcać. Gdy już cała linka znalazła się w wodzie, wyprężyła się i nasze kanu zaczęło płynąć ciągnione przez jakąś niewidzialną, podwodną siłę. Musiała to być jakaś ogromna ryba. Rozjuszona wskutek odniesionej rany, teraz wlokła nas, miotając nami jak zabawką. Kumewawa położył się na dziobie łodzi, żeby jakiś nagły ruch nie przewrócił go do wody. Po kilkunastominutowej szalonej jeździe szybkość się zmniejszyła i w końcu zatrzymaliśmy się. Zaczęliśmy zwijać linę, wciągnęliśmy harpun i wreszcie z trudem wrzuciliśmy do łodzi już zmęczoną, półżywą dwumetrowej długości rybę „pirarękę" najsmaczniejszą mieszkankę rzek Amazonii.

Gdy ryba już leżała na dnie łodzi, my też położyliśmy się na zasłużony odpoczynek. Nie mogłem się oprzeć, by nie wyrazić podziwu swemu małemu przyjacielowi. On zaś skromnie zauważył:

— Wszystkie zwierzęta potrafią znaleźć sobie pożywienie. Człowiek też musi.

— Tak, ale ty jeszcze nie jesteś dorosły! Jesteś jeszcze chłopcem!

— Nie! Spójrz na te dwa czarne pierścienie wytatuowane na moich policzkach. Oznacza to, że jestem już dorosły.

— Nie rozumiem. Opowiedz mi o tym, Kemewawa.

— Teraz nie ma czasu. Jeżeli będziemy rozmawiać, wypłoszymy ryby, a twoi przyjaciele będą czekać na nas z pustymi brzuchami.

— Przynajmniej powiedz mi kilka słów o wytatuowanych kółkach, bo jestem strasznie ciekawy.

— Maloa powiada: „Prawdy dowiesz się tylko wówczas, gdy potrafisz ukryć ciekawość".

Umilkłem. Milczałem z obojętną miną, chociaż tak byłem ciekaw, że o mało nie wyskoczyłem ze skóry.

Tibor Sekelij
Tłum. z serbskochorwackiego
Halina Kalita

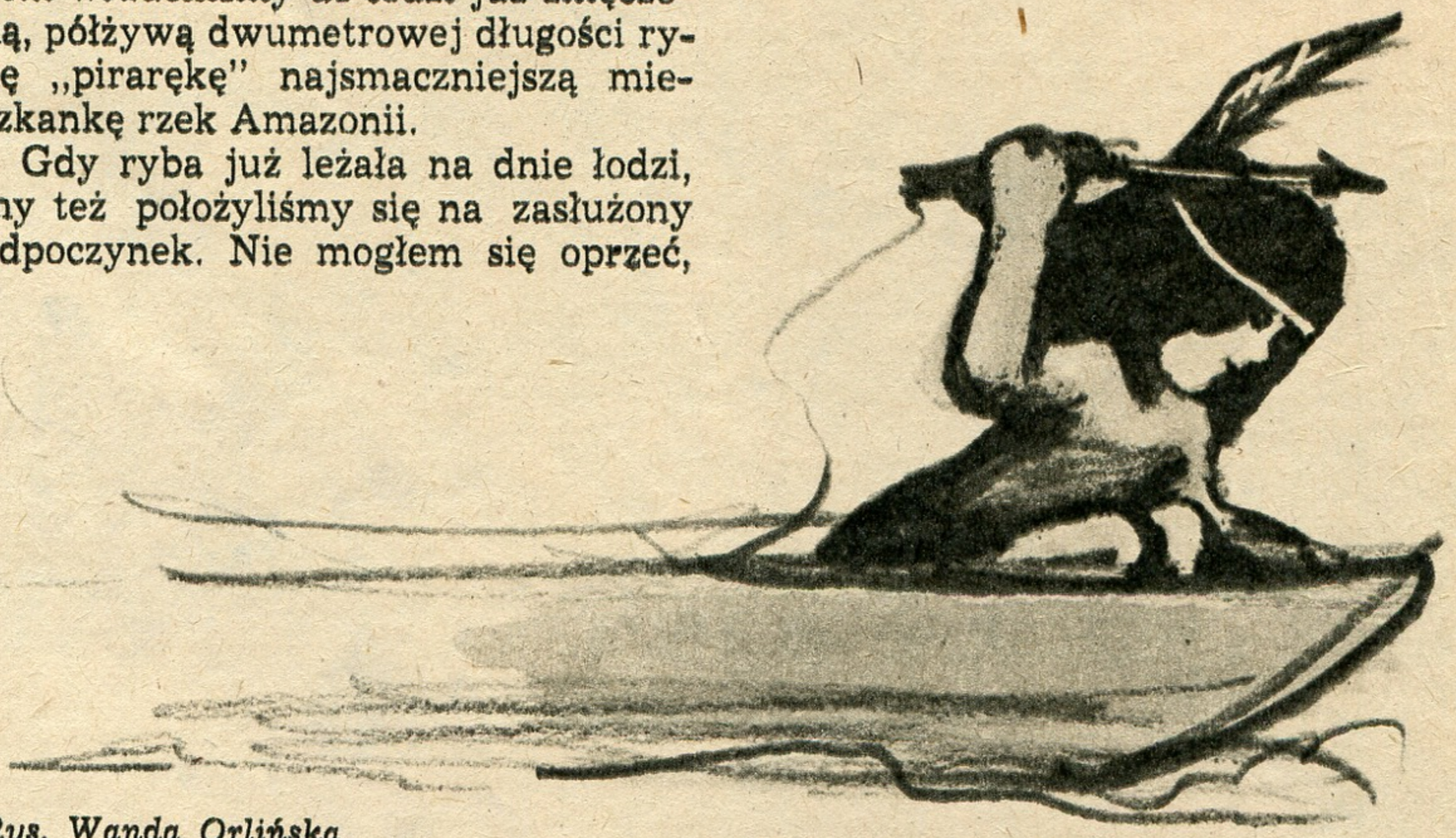

Rys. Wanda Orlińska

Pożegnanie

(fragment)

Po raz ostatni woła nas dzwonek —
śpiew, oklaski i wrzawa.
A potem nagle się wszystko zapada
w ciszę tak wielką,
że tylko słychać, jak brzęczy za szybą
samotnej muchy skrzydełko.
I już po wszystkim. I już składamy
pióra, zeszyty i książki.
Za to się wielkie zaczną przygody,
gdy się otworzy przed nami
zielona księga przyrody. (...)

Bogdan Ostromęcki

Zielony list

(fragment)

Już pociąg rusza, słychać gwizd,
Już miasto poza nami.
Jutro wyślemy pierwszy list
Z namiotu pod sosnami.

Zielone ściany będą tam,
Zielone będą stoły.
Więc list nasz będzie taki sam —
Zielony i wesoły.

A gdy zielony liścik ów
Listonosz wam przyniesie,
Dowiecie się już z pierwszych słów,
Że dobrze nam tu w lesie.

Roman Pisarski

Wiersz prawie wakacyjny

(fragment)

Spakowana walizka,
żagiel szumi na wietrze,
na akacjowych listkach
żeglujemy już w przestrzeń.

Liść — samolot skrzydlaty,
listek — łódka z żaglami.
Już fruniemy nad światem,
już płyniemy rzekami.

Akacjami nad świerki,
w góry śniegiem wciąż lśniące,
poprzez zieleń i błękit,
nad Porońcem przez słońce.

Tadeusz Kubiak

Rys. Teresa Jaskierny

POLACY ŚWIATU

INŻYNIER, KTÓRY ZAWSZE BYŁ POSŁUSZNY INTERESOWI PUBLICZNEMU

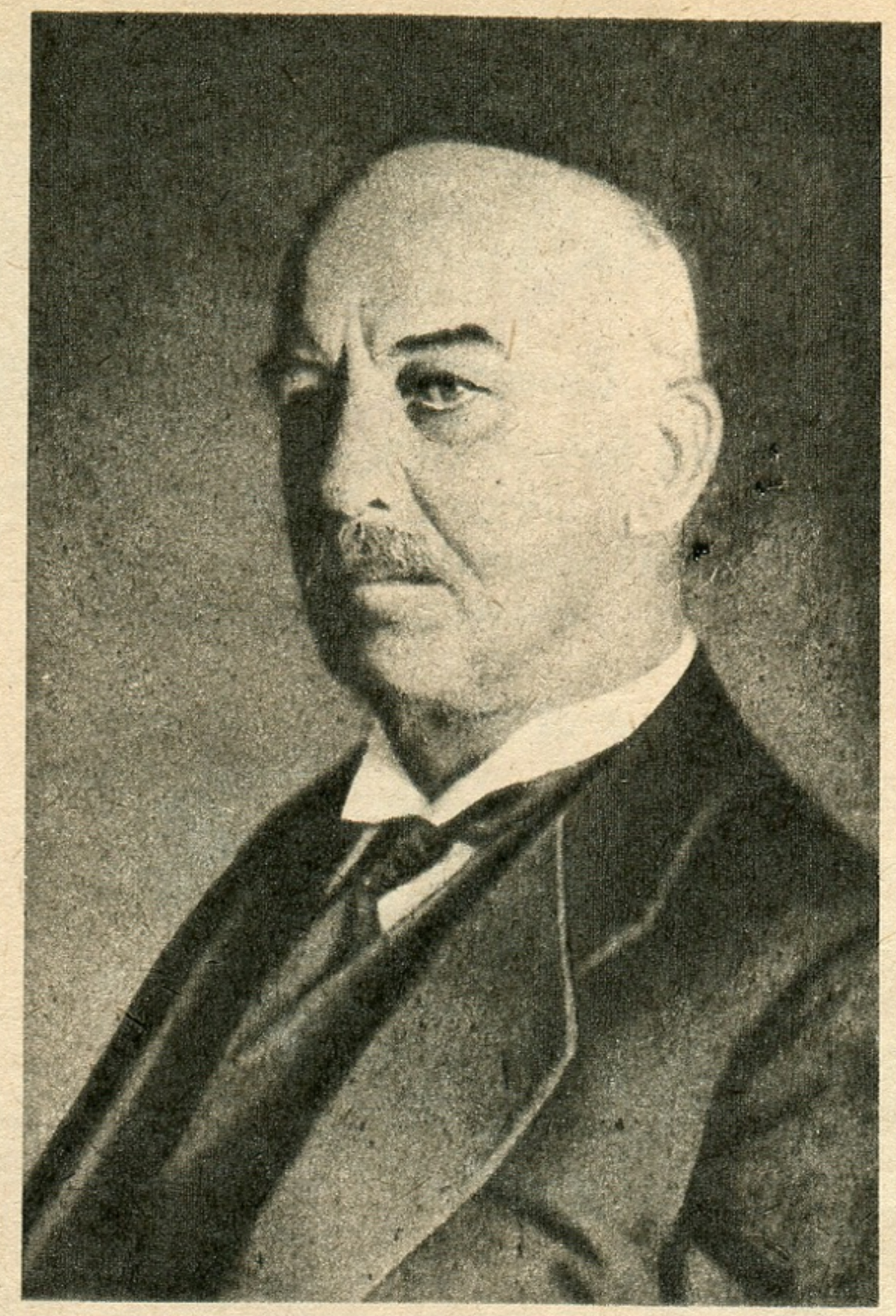

Gabriel Józef Narutowicz urodził się 17 marca 1865 roku w Telszach na Żmudzi, w polskiej rodzinie szlacheckiej o tradycjach powstańczych. Ukończył gimnazjum niemieckie w Libawie i w 1883 roku wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny uniwersytetu w Petersburgu (obecnie Leningrad).

Podczas studiów zachorował na gruźlicę i wiosną 1886 roku wyjechał na kurację do Szwajcarii. Gdy po paru latach powrócił do zdrowia, studiował na wydziale inżynieryjno-budowlanym politechniki w Zurychu, który ukończył w 1891 roku. Nie mogąc wrócić do kraju pozostał w Szwajcarii specjalizując się głównie w budownictwie wodnym. Nie mająca własnych zasobów paliw naturalnych Szwajcaria zaczęła wówczas budować elektrownie wodne wykorzystujące „biały węgiel", którego — dzięki swemu górzystemu ukształtowaniu — miała pod dostatkiem. Narutowicz uczestniczył w projektowaniu elektrowni, a po kilku latach zaczął kierować ich budową. Zyskując coraz więcej doświadczenia, przyczynił się do powstania kilku dużych elektrowni wodnych — będących wówczas nowością światową — nie tylko w Szwajcarii, ale także w sąsiednich krajach.

Pracował z pasją. Mawiał, że — tworząc nowe rzeczy — „inżynier doznaje tej samej przyjemności, jaką ma Bóg". Toteż nie bez oporów dał się nakłonić do prowadzenia wykładów na politechnice w Zurychu. Był profesorem znakomitym i powszechnie lubianym. W 1908 roku otworzył w Zurychu własne biuro inżynierskie opracowujące projekty elektrowni wodnych oraz udzielające fachowych porad. Wkrótce zyskało ono europejski rozgłos i wykonywało zamówienia dla wielu krajów, m. in. Włoch, Austrii, Hiszpanii, Francji, Portugalii, Finlandii i Turcji. Największym osiągnięciem inżynierskim Narutowicza było zbudowanie na rzece Aar w pobliżu Berna elektrowni Mühleberg, wówczas jednej z największych i najnowocześniejszych w Europie. Był głównym twórcą jej ostatecznego projektu i osobiście kierował jej budową w latach 1917—1920. O pozycji, jaką zdobył sobie Narutowicz, świadczy fakt, że był przewodniczącym międzynarodowej komisji do spraw regulacji Renu.

W 1911 roku nadarzyła się Narutowiczowi sposobność odwiedzenia Galicji. Zwiedzał ją samochodem, badając możliwości wykorzystania energii wodnej rzek Podkarpacia. Rezultatem tej podróży był projekt budowy elektrowni wodnej Szczawnica-Jazowsko, który biuro Narutowicza opracowało bezpłatnie.

Kiedy w 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, Narutowicz przyjeżdżał do kraju kilkakrotnie jako ekspert. Ale nawał prowadzonych prac oraz śmiertelna choroba żony sprawiły, że nie od razu zdecydował się powrócić na stałe do ojczyzny. Zachęcił go do powrotu do kraju wybitny wynalazca, Ignacy Mościcki (późniejszy pre-

zydent Rzeczypospolitej), który znał Narutowicza z czasów, gdy sam pracował w Szwajcarii. Tłumaczył wtedy: „Przecież Polska nie co rok powstaje".

Poczucie obowiązku względem kraju wzięło górę. Powrócił więc Gabriel Narutowicz w 1920 roku do Polski i zajął się odbudową zniszczonego przez wojnę kraju jako minister robót publicznych. W 1921 roku odbudowano pod jego kierownictwem setki tysięcy budynków (w tym znaczną liczbę szkół), wiele mostów, oraz dokonano napraw sieci drogowej. Narutowicz osobiście kierował projektowaniem zbiornika powodziowego i elektrowni wodnej na rzece Sole w Porąbce, której budowę rozpoczęto w 1921 roku. W 1922 roku raz jeszcze skłoniono Narutowicza, by porzucił na pewien czas ukochaną swą inżynierię i służył krajowi w innej dziedzinie. Reprezentował wówczas Rzeczpospolitą na ważnej konferencji międzynarodowej w Genui. Był postacią szeroko znaną i zagraniczni politycy mieli do niego wielkie zaufanie. Wywiązał się ze swej misji tak dobrze, że po powrocie mianowano go ministrem spraw zagranicznych. Pozostał na tym stanowisku aż do grudnia 1922 roku, kiedy raz jeszcze przekonano go, że dla dobra kraju powinien zgodzić się kandydować na urząd prezydenta.

Gabriel Narutowicz został wybrany na prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej. Ze swą wiedzą, pracowitością i charakterem ten pierwszy polski prezydent, nie uwikłany w wewnętrzne spory i rozgrywki polityczne, mógłby wiele zdziałać dla ojczyzny. Niestety, już pierwszego dnia

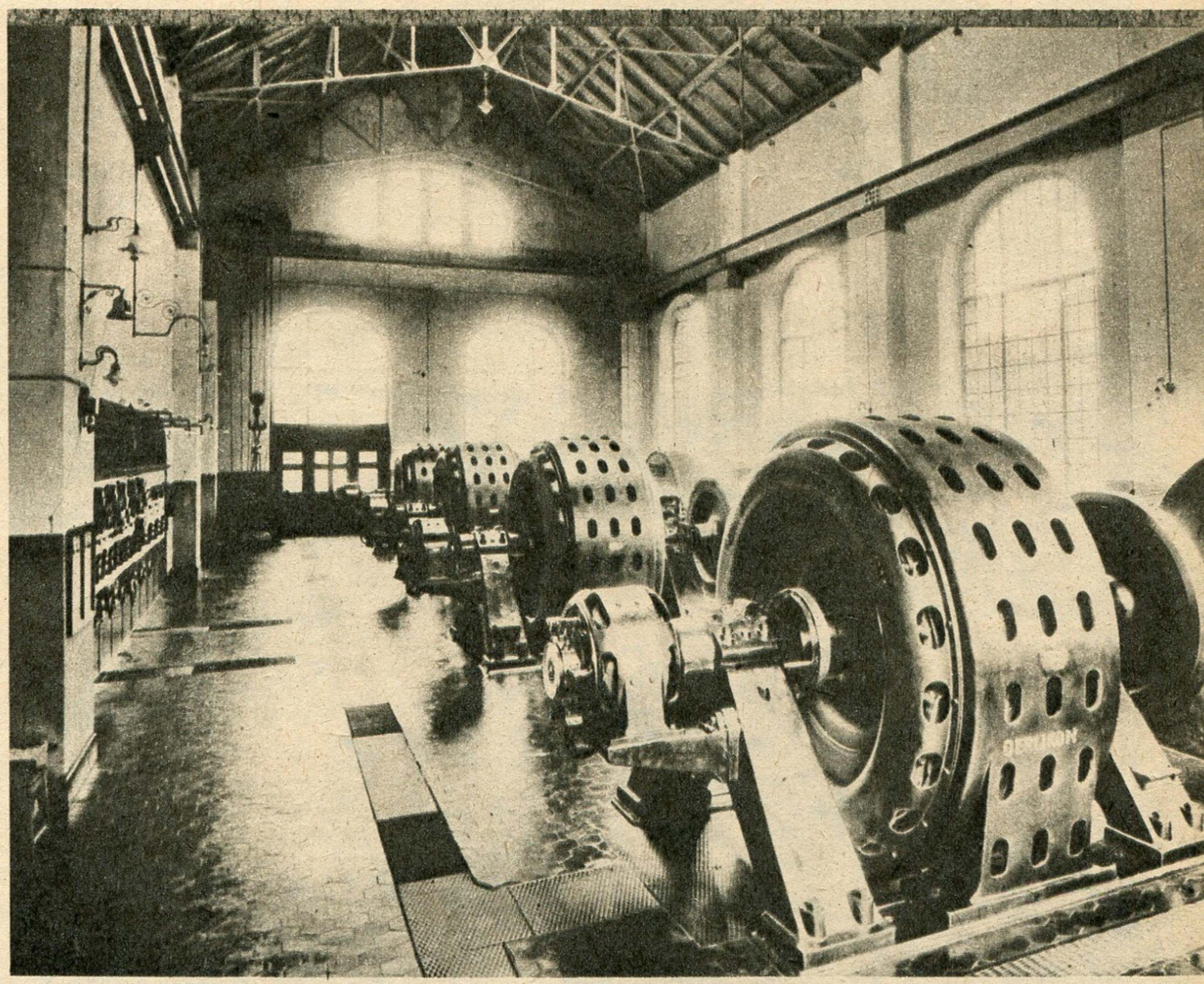

Generatory elektrowni projektowanej przez Narutowicza w Monthey, na granicy francusko-szwajcarskiej

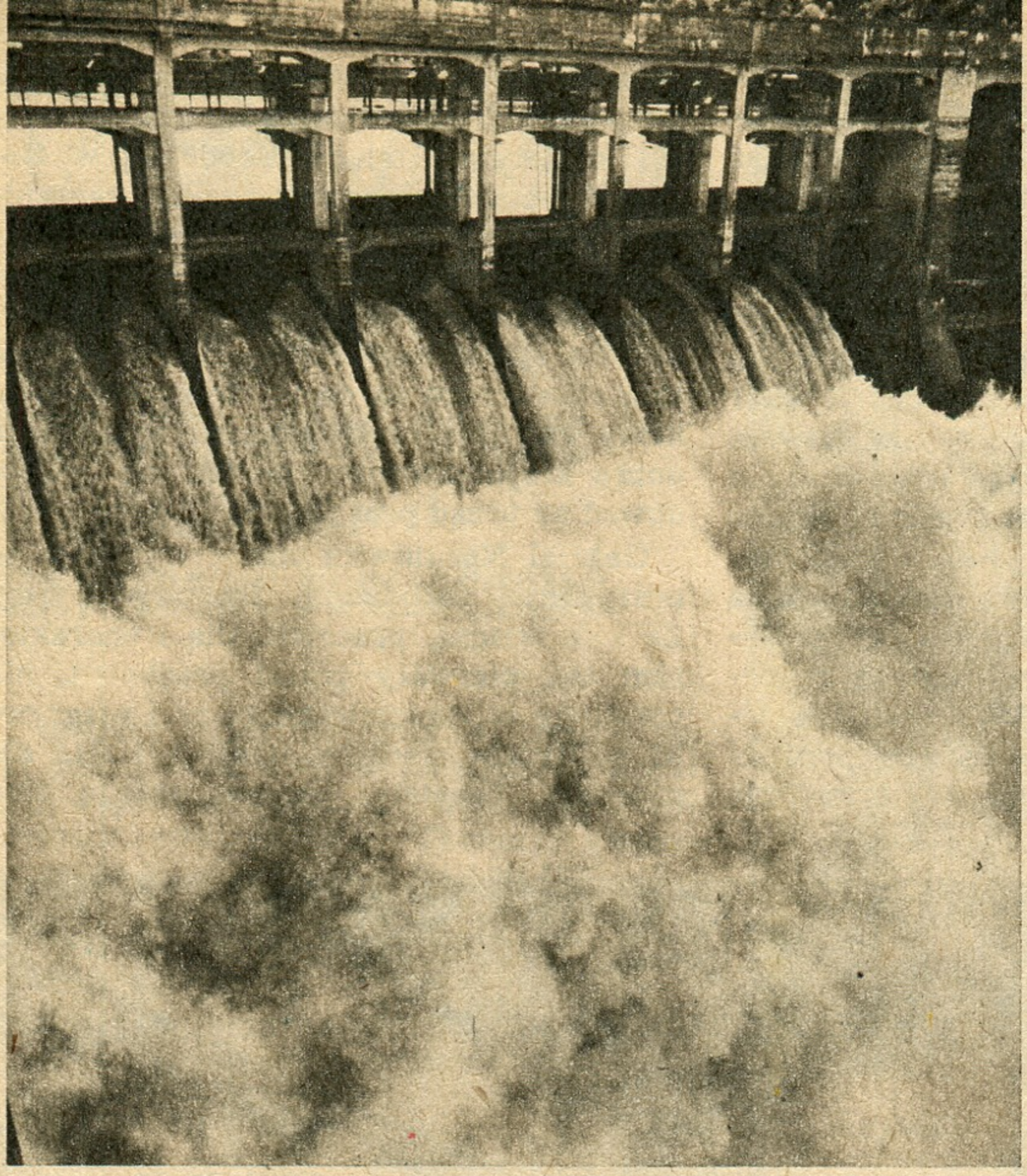

jego urzędowania, 16 grudnia 1922 roku podczas otwarcia dorocznej wystawy w „Zachęcie", zginął od kuli politycznego fanatyka. O ostatnich dniach życia Narutowicza opowiada z pasją i realizmem piękny film Jerzego Kawalerowicza „Śmierć Prezydenta". Warto, abyście go obejrzeli, kiedy nadarzy się Wam taka sposobność.

Bolesław Orłowski

●

Na zdjęciach udostępnionych autorowi przez Ambasadę Szwajcarii — elektrownia Mühleberg na rzece Aar w pobliżu Berna

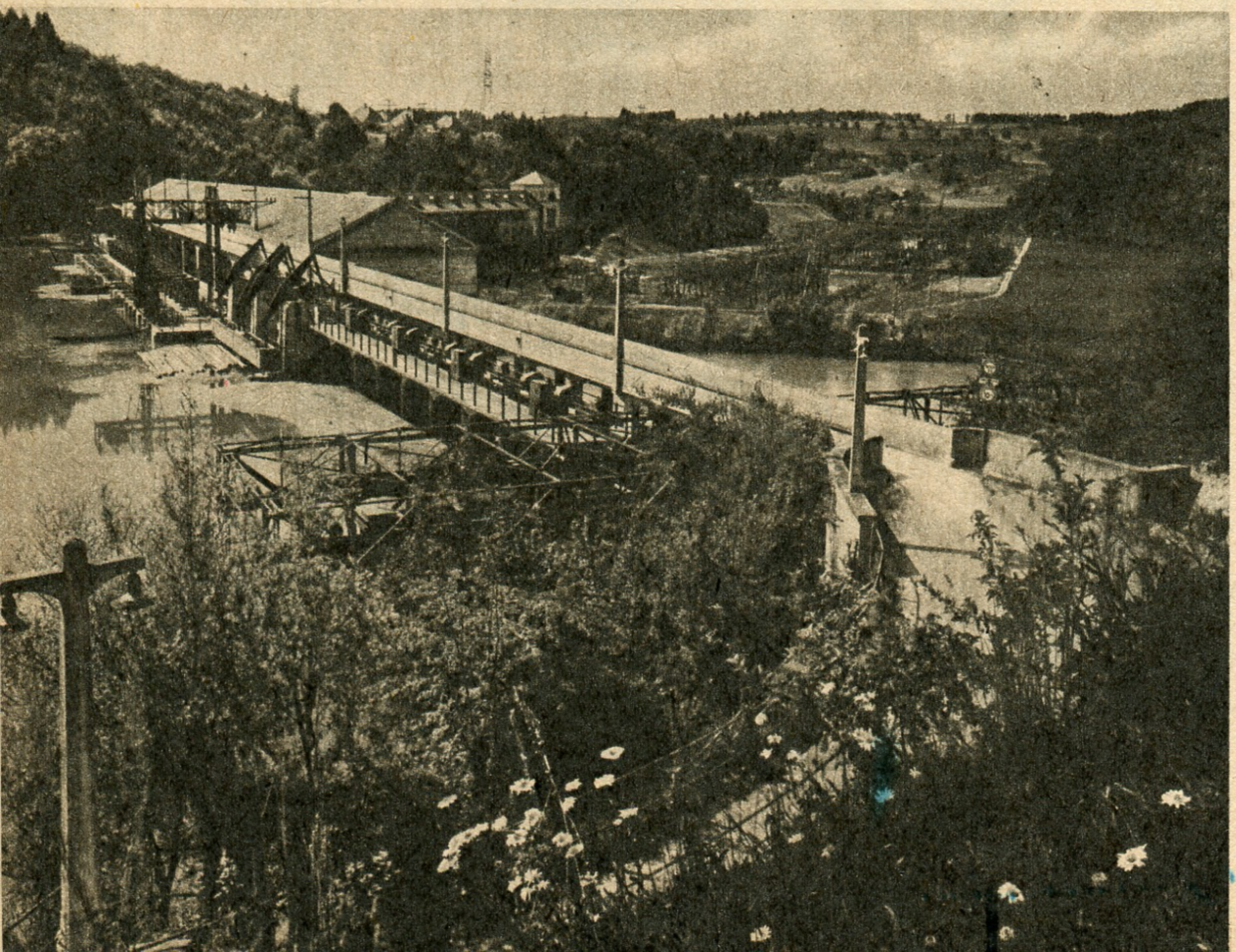

Oj, świadectwa!...

— Ta dwója z matematyki to dlatego, że miałem inną koncepcję tabliczki mnożenia niż nasza pani.

— Jeżeli Jasio wracając ze szkoły zadzwoni 20 razy, to dostał promocję, jeżeli tylko raz, to nie!

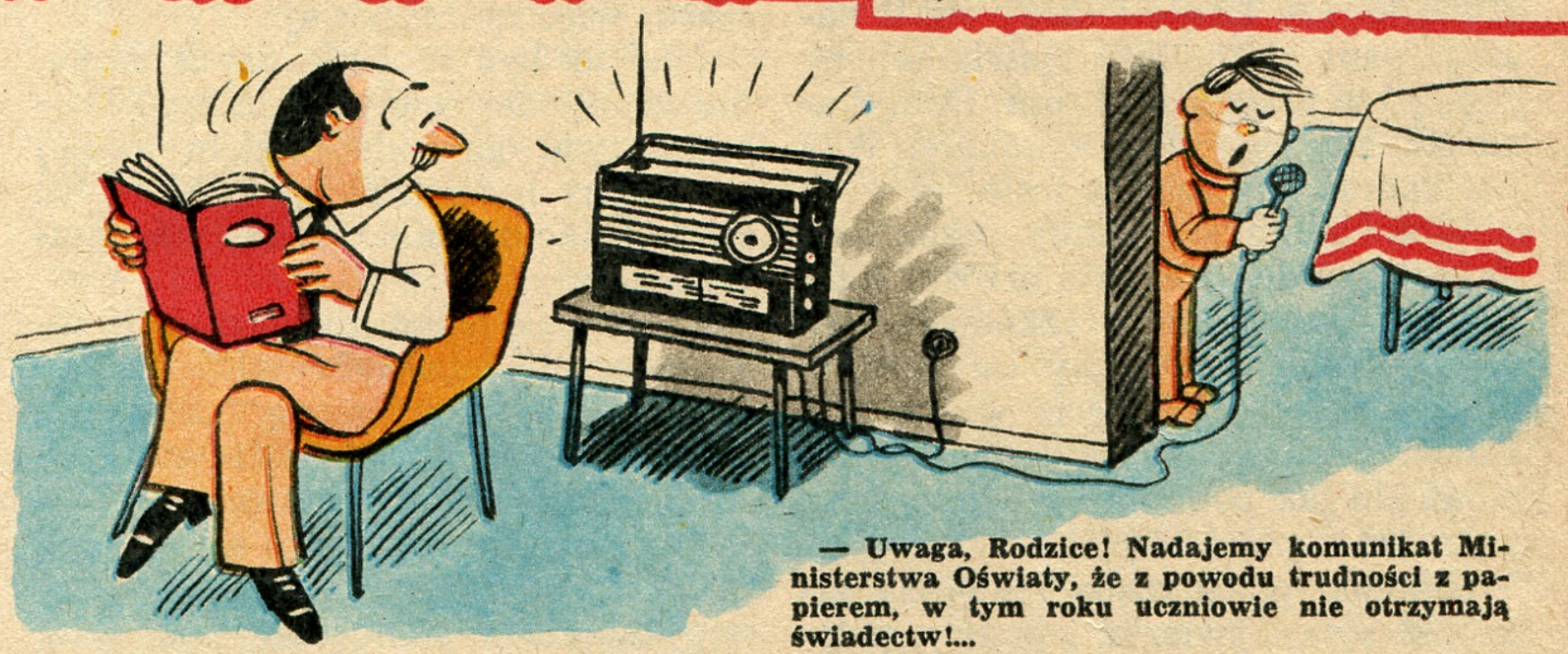

— Uwaga, Rodzice! Nadajemy komunikat Ministerstwa Oświaty, że z powodu trudności z papierem, w tym roku uczniowie nie otrzymają świadectw!...

— Mam najlepsze stopnie wśród tych, którzy zostali na drugi rok w naszej klasie!

STRACH JEST ZAWSZE DOROSŁY

Bardzo lubimy pana Turosia. Jego przyjście do szkoły oznacza zawsze jakąś nową przygodę, a co najmniej urozmaicenie zwyczajnego dnia.

Może to brzmi trochę tajemniczo, ale żadnej tajemnicy w tym nie ma — po prostu, kiedy się pan Turoś u nas pokazuje, wiadomo, że w tym dniu jedna lub dwie lekcje pękną. A zdarzało się już, że i cały następny dzień lekcyjny przepadał ze jego sprawą.

Zapewne ciekawi jesteście, co to za ważna figura — może inspektor szkolny, a może wizytator? Nic podobnego!

Pan Turoś jest leśniczym w leśnictwie Księży Lasek i kiedy się u naszego pana kierownika zjawia, wiemy z góry, że przyszedł po nas. Domyślacie się, dlaczego? Tak, zgadliście! Aby nas zabrać do pracy w lesie.

W kwietniu sadziliśmy przez dwa dni młodziutkie sosenki i brzózki, a teraz pod koniec roku szkolnego, jak czas pozwala, chodzimy do pielenia szkółek. To jest zajęcie więcej dla dziewczynek takie skubanie chwastów, ale jak potrzeba, to i my, chłopaki, też to potrafimy.

Szkółka, gdzie rosną maleńkie sadzonki sosny, świerka i brzozy, położona jest w najpiękniejszej części lasu. Dokoła stoją stare buki i sosny, między nimi tu i tam rozsiada się potężny dąb, a na ogrodzonej gęstymi sztachetami polance panuje zawsze cisza i spokój, jak w przedszkolu po obiedzie, kiedy maluchy śpią. Tak, lepiej pasuje do tej leśnej polanki nazwa przedszkole aniżeli szkółka.

Skubaliśmy już te chwasty ze dwie godziny, na wąziutkich miedzach nazbierało się trochę zielonego śmiecia, więc nasza pani, która tak jak i my pełła swoją grządkę, zawołała:

— Janek (to znaczy ja!), Wacek, bierzcie płachtę i wynieście chwasty! O tam, wysypcie je w ten wykrot!

Zataszczyliśmy cały ten majdan nad wykrot, wytrzepaliśmy płachtę z piachu i dobrze. Trzeba wracać do roboty, mamy przecież dzisiaj całą tę szkółkę opleć.

Zabieramy się więc do powrotu, ale jeszcze przedtem spojrzeliśmy na siebie, no i Wacek powiedział:

— Ty, Janek, może tam skoczymy? No, wiesz gdzie!

Jasne, że wiedziałem! Parę dni temu pan Turoś opowiadał nam o kawałku lasu, niedaleko stąd, a opowiadał tak ciekawie, że od razu postanowiliśmy go zwiedzić. Wtedy nie było czasu, więc może dzisiaj...

Miał to być zupełnie zapuszczony, nie zagospodarowany kąt leśny. Leśniczy nazwał go matecznikiem swojej zwierzyny i dorzucił, że póki on tu rządzi, nie wpuści do środka mechanicznej piły.

To nam się podobało, warto było taki matecznik zobaczyć.

Skinąłem więc głowę, położyłem płachtę obok wykrotu i cichutko zniknęliśmy za kępą jałowców.

Po paruset metrach las się obniżył, ścieżka, którą szliśmy dotychczas, prawie zanikła i stanęliśmy pod zbitą ścianą drągowiny, gęsto poprzerastanej zielonym podszyciem. Spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo.

— To tutaj! Bez pudła! — szepnął Wacek.

Zrobiliśmy pierwszy krok w gęstwinę i od razu stało się jasne, że wcale to nie będzie przyjemny spacer. W ogóle, trudno się było ruszyć.

Elastyczne gałęzie sosenek zagradzały nam drogę, splatały się z krzakami tak gęsto, że łamany suchy chrust nie padał na ziemię, a zawisał między żywymi odnogami, kłuł nas po nogach, drapał i... przytrzymywał.

O tym, by w takich warunkach posuwać się naprzód bez szmerów —

oczywiście, nie było mowy. Walczyliśmy tak z przeciwnościami przez dobre kilkadziesiąt metrów, aż gąszcz stopniowo zrzedniał i znaleźliśmy się w łysawej dolince, tu i tam podmokłej, zacisznej, o bujnych kępach traw i ziół.

Niespodzianka zdarzyła się za pierwszą kępą leszczyn, które zaczęliśmy z lewej obchodzić. Wacek, idący przodem, stanął w pewnej chwili jak wryty i bardzo powoli odwrócił w moją stronę zmienioną twarz. Przysunąłem się do niego i teraz ja z kolei znieruchomiałem. O trzy metry od nas stał na szeroko rozstawionych nóżkach jelonek. Był wzrostu dużej kozy, jego jasnobrązowa suknia lśniła czystością, jakby ją przed chwilą matka wylizała, wilgotną mordkę wyciągał w naszą stronę, a w oczach, jak dwa leśne jeziorka, widniała wielka i... prawie uśmiechnięta ciekawość.

Staliśmy z Wackiem ramię w ramię, ze wstrzymanymi oddechami i razem, po długiej chwili cofnęliśmy się wolniutko. Jelonek postąpił krok naprzód i, przekrzywiając łebek, przyglądał się naszemu odwrotowi.

Wreszcie można było swobodnie odetchnąć. Trafiliśmy na przesmyk jeleni i nie mówiąc do siebie ani słowa, znacznie wygodniej wróciliśmy pod ścianę matecznika. Dopiero tutaj Wacek odsapnął z ulgą i powiedział:

— Ale draka, co?

Zrozumiałem, że tu nie o żadną „drakę" chodzi, ale o podzielenie się ze mną wrażeniem, które musiało znaleźć jakąś nazwę.

— On się nas wcale nie bał! — powiedziałem, przypominając sobie przekrzywiony z ciekawością łebek jelonka.

— Pewnię jeszcze nigdy nie widział ludzi — dorzucił Wacek ruszając w stronę szkółki.

— Pamiętasz, zeszłego roku — przypomniałem — małe dziczki też się nas nie bały. Tylko myśmy się bali, żeby locha nie wróciła.

— Pewnie — stwierdził Wacek. — Małe się nie boją, tylko strach jest zawsze dorosły.

Zdaje się, że chciał to inaczej powiedzieć, ale ja i tak zrozumiałem, o co mu idzie.

Po południu powróciliśmy z lasu do domów. Szkółka była oczyszczona na pokaz!

Ojciec mył akurat ręce w kuchni, gdy wpadłem i z miejsca opowiedziałem mu o wszystkim. Słuchał z uśmiechem i potakiwał głową.

— Tato! — wołałem z zapałem. — Jakby to było fajnie, gdyby leśne zwierzęta, w ogóle wszystkie, nie bały się ludzi. Jakby to było przyjemnie spacerować po lesie!

Ojciec spojrzał na mnie z zastanowieniem i niespodziewanie poważnie powiedział:

— Tak, to byłoby bardzo przyjemne, ale tak mi się wydaje, że przedtem musi przyjść taki czas, gdy ludzie przestaną bać się ludzi.

Spojrzałem na niego zdziwiony — o co mu chodziło? Mój tato jest dobrze zbudowany, silny i bać się nikogo nie potrzebuje. Zresztą... czy ja wiem?

Przyszło mi na myśl to, co powiedział Wacek, że strach jest zawsze dorosły. Czy to prawda? Hm, coś w tym jest.

Jan Edward Kucharski

W ŚWIĘTOJAŃSKĄ DZIWNĄ NOC

Rys. Zbigniew Rychlicki

Rozpalimy Nowy Ogień,
Złe się skończy — zacznie Dobre.

Złoty Wianku, wodą płyń,
Przynieś Szczęście, omiń Łzy!

A tej Nocy o Północy
Znajdziesz w lesie Kwiat Paproci.

Tańczący słoń

6

— Proszę pana — powiedział Bartek, zbliżając się do wyciągniętego wygodnie na leżaku Fajczarza — ja już posprzątałem.

Mężczyzna odłożył książkę, którą czytał, przeciągnął się, ziewnął i wstał z leżaka.

— Zaraz zobaczymy. Wszystko wymyłeś?

— Tak... tylko... — zająknął się. — Tylko nie wiem, co robić z kapą i z pana książkami.

— Nie wiesz — ironizował wielbiciel ptaków. — Może ci podpowiedzieć, kawalerze.

— Mogę zanieść do pralni.

— Jesteś bardzo domyślny.

— A książki i papiery? Tego nie da się zmyć.

Fajczarz udał, że nie słyszy jego wyjaśnienia.

— No chodźmy. — Ruszył pierwszy w stronę domu. — Przekonamy się, jak potrafisz pracować.

Zanim jednak Bartek zameldował o skończeniu sprzątania, upłynęły dwie godziny. Dwie godziny męczył się, by doprowadzić pokój do porządku. A praca ta była niemal syzyfowa, bo gdy wytarł podłogę, lepka ścierka kleiła się do rąk, a gdy umył w wiadrze ręce, znowu woda stawała się lepka i należało ją zmienić. I tak w kółko.

Jedynym pożytkiem z tej niewdzięcznej roboty była możliwość dokładnego przyjrzenia się mieszkaniu. Kiedy nieco ochłonął, zaczął rozglądać się po pokoju. Na biurku, przy którym pracował Fajczarz, leżały porozrzucane książki. Wszystkie dotyczyły nauk przyrodniczych — ornitologii, botaniki, zoologii.

Najwięcej jednak było książek o ptakach.

„A może to naprawdę ornitolog?" — zapytywał się w myśli. Wszystko na to wskazywało, gdyż notatki leżące na stole pełne były informacji o ptasim świecie.

Na wierzchu leżała zupełnie świeża kartka, dotycząca ptaka, któremu tak dociekliwie przyglądał się w drodze do domu. Notatka brzmiała: „21.07.83 — zobaczyłem kraskę. W tej okolicy ptak ten jest b. rzadki. Egzemplarz zupełnie młody. Pewnie z wiosennego wylęgu".

— No, no — pokręcił głową — nasz przyrodnik skrzętnie notuje każde spotkanie. A może to tylko szyfr. Może „kraska" oznacza jakąś młodą osobę?

Porządkując książki i notatki wyciągnął spod atlasu ptaków kartkę, która go najbardziej zaintrygowała. Był to początek nie dokończonego listu. Przeczytał go jednym tchem.

„Szanowny Panie — zaczynał się list. — Nasz plan rozwija się dobrze. Nie spodziewałem się, że sam początek będzie tak łatwy. Musiałem jednak w ten plan wtajemniczyć jedną znajomą panią, którą spotkałem przypadkowo nad jeziorem. Jest to osoba dyskretna, a przy tym spodobał się jej nasz plan. Sądzę, że będę musiał do naszej roboty wprzęgnąć jeszcze kogoś. Mam nawet kandydata — pewnego bardzo rozsądnego jegomościa, z którym jadam obiady. Zastanawiam się, czy nie pozyskać kogoś z młodzieży, lecz to byłoby ryzykowne, gdyż — jak pan zapewne wie — młodzi ludzie często nie dochowują tajemnicy, a..."

— No, teraz to już wszystko jasne — skonstatował Bartek. — Niech mnie szpaki zadziobią, to szpieg! Z listu jasno wynika, że organizuje tutaj siatkę szpiegowską. Już jedną ofiarę wtajemniczył w swój plan ... Zaraz, zaraz — zastanowił się. — A może to jakiś terrorysta? Nie — zaprzeczył sam sobie. — U nas nie ma terrorystów. O, łajdak! — ciągnął dalej w myśli — chce wprzęgnąć do szpiegowskiej roboty kogoś ze stołowników. A może już wciągnął tego ze złamanym nosem. No, jasne. Wszystko się dobrze składa — jak

w szarądzie. Krzywonosy dostał od niego rozkaz zabrania im tańczącego słonia, bo sam szef szajki nie chciał, by go zdemaskowali. A to wredny spryciarz. Niby to chodzi po lesie i podgląda ptaki, a tymczasem zbiera ważne materiały dla obcego wywiadu.

Zatarł dłonie, a właściwie usiłował zatrzeć, gdyż były jeszcze lepkie od malinowego soku. Ucieszył się ogromnie i pomyślał, że teraz będzie mógł stanąć przed szefem i powiedzieć: „Inspektorze, wpadłem na trop niebezpiecznej siatki szpiegowskiej".

Myśl ta dodała mu do tego stopnia sił i otuchy, że sprzątanie poszło mu teraz jak z płatka, a że trochę marudził, to zapewne celowo, bo przez ten czas zebrał sporo ważnych informacji o Fajczarzu. Dowiedział się, że pali tytoń angielski „Old Boy", używa papieru toaletowego marki „Klucze", myje się krajowym mydłem „Kajtek" i pogryza krakersy „Bridge". Poza rzeczonym nie dokończonym listem żadnych obciążających materiałów sierżant Bartłomiej Dziwisz nie znalazł. Szybko zakończył sprzątanie, w kuchni pod kranem umył ręce i, omijając panią Sobolową, zameldował o zakończeniu pracy.

Teraz szedł za szefem siatki i śmiejąc się w myśli, udawał ofiarę kaprysów kota Maciusia.

Weszli do pokoju. Fajczarz rozejrzał się.

— Mówisz, że posprzątałeś wszystko na cacy?

— Tak, pro... pana.

— A jak znajdę nie posprzątane miejsce, to co?

— Może pan szukać — odparł ufny w siebie. — Widzi pan, podłoga błyszczy jak brylant.

Fajczarz ukląkł przy łóżku i przejechał palcem po drewnianej podłodze. Syknął z obrzydzeniem, gdyż jego wskazujący palec zgarnął lepiącą się malinowoszarą masę.

— To ma być na cacy? — skarcił go wzrokiem.

— Pod łóżko nie zaglądałem.

— To bądź łaskaw zajrzeć, bo...

— Pro... pana — przerwał mu chłopiec żałosnym tonem — nie jadłem jeszcze obiadu... i ojciec pewno się niepokoi.

— To, że nie jadłeś, nieważne, ale ojciec... — Pokręcił głową i zapytał:

— Gdzie mieszkasz?

Bartek zakrztusił się własną śliną, gdyż w ostatniej chwili skapował, że nie może zdradzić swego miejsca zamieszkania.

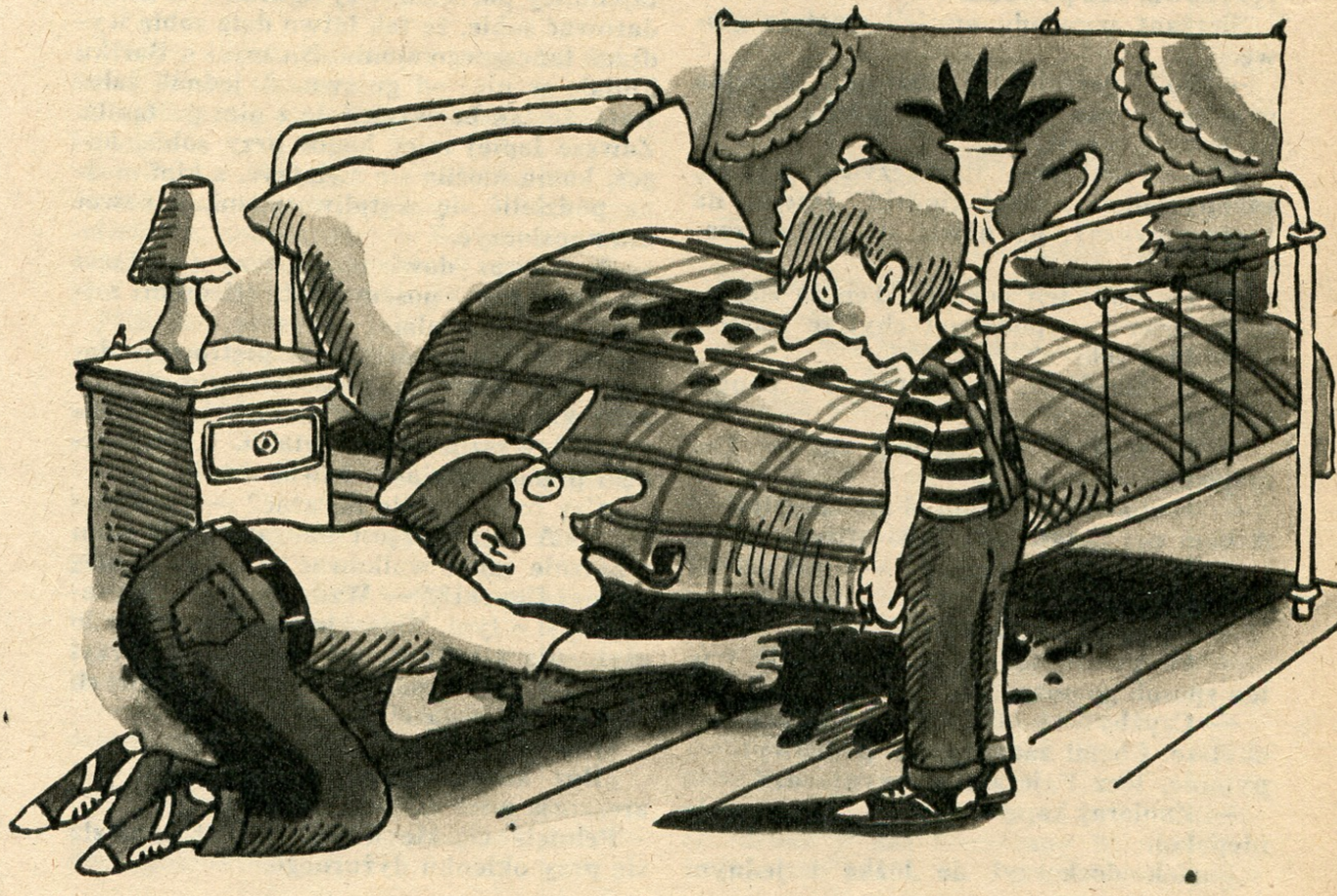

— Na kempingu — odparł dziwiąc się, że kłamstwo tak łatwo przeszło mu przez gardło.

— Tam, gdzie ta twoja przemądrzała koleżanka? To dość daleko stąd.

— Będzie ze trzy kilometry.

Fajczarz z obrzydzeniem zerknął pod łóżko.

— Zwalniam cię, ale jedynie ze względu na rodziców.

— Dziękuję — zawołał Bartek. Zdziwił się nieco, że tak łatwo przekonał szefa siatki szpiegowskiej. Ucieszył się, lecz był tak przejęty, że chciał wyskoczyć przez okno.

Fajczarz chwycił go za rękaw.

— Wolnego, kawalerze, u nas wciąż jeszcze wychodzi się drzwiami, a poza tym masz zabrać do pralni kapę.

— Przepraszam, na śmierć zapomniałem.

— Lepiej, żebyś wcześniej przypomniał sobie, że do obcego mieszkania nie wchodzi się bez pozwolenia. — Przyciągnął go bliżej i zajrzał mu w oczy.

— Słuchaj, przyjacielu, a właściwie czego u mnie szukałeś?

— Ja?... — zająknął się.

— Przecież ciebie pytam. Nie sądzę, byś ryzykował bez powodu.

Sierżant wywiadu opuścił smętnie głowę.

— Bo... przecież to dziwne... Zulejka mówiła, że pan zakopał tę figurkę w lesie na wyspie, a pan...

— Już raz wam tłumaczyłem, że nie zakopywałem żadnej figurki. Jestem na to za poważny, by bawić się takimi rzeczami.

— To może ten bokser... Ten ze złamanym nosem — podsunął chytrze Bartek.

— Jaki bokser?

— A taki facet, co się razem z panem stołuje.

— A, ten? — uśmiechnął się. — Ten magister?

— Magister? — zdumiał się chłopiec. — A nam przedstawił się jako oficer milicji.

— Magister ekonomii — powiedział Fajczarz z naciskiem.

— To pan go dobrze zna?

— Po prostu jadam z nim obiady i w ten sposób go poznałem.

— Czyżby? — Bartek uśmiechnął się chytrze. Chciał zadać jakieś podchwytliwe pytanie, lecz Fajczarz go wyprzedził.

— Zabieraj kapę i zmykaj, bo ojciec się niepokoi.

Bartek doskoczył do łóżka i jednym szarpnięciem chciał zerwać ciężką kapę. Uczynił to tak niezdarnie, że kapa ściągnęła na podłogę poduszkę, a ta niefortunnie upadła na miejsce, gdzie zostało jeszcze trochę rozlanego soku malinowego. Fajczarz aż syknął z przejęcia. Schylił się, podniósł poduszkę, a gdy ją odwrócił, na delikatnym płótnie ujrzeli ogromną plamę koloru leśnych malin i kształtu chińskiego smoka.

— Przepraszam — jęknął sprawca.

Fajczarz roześmiał się przekornie.

— Zmywaj się — powiedział — bo za chwilę spowodujesz trzęsienie ziemi.

*

„Niełatwo być inspektorem śledczej policji" — myślała Zulejka, zbliżając się do komisariatu milicji.

Wieczór był pełen światła. W dali smukłe pnie sosen płonęły w odblaskach zachodzącego słońca, a nad nimi drobne obłoki sunęły po czystym jak szkło nieboskłonie. Było cicho i pusto. O tej porze we wszystkich domach wczasowych, hotelach i pensjonatach podawano kolację, nic więc dziwnego, że ulice wyglądały jak wyludnione.

Zulejka nie zachwycała się pięknem letniego wieczoru. Jej myśli krążyły wokół tajemnicy porcelanowej figurki. Nie mogła darować sobie, że tak łatwo dała sobie wydrzeć tańczącego słonia. Na myśl o Bartku kipiało w niej od gniewu. A jednak żałowała, że tak bezwzględnie z nim postąpiła. Zawsze lepiej mieć kogoś przy sobie, kogoś, komu można się zwierzyć, z kim można podzielić się wątpliwościami, a nawet mu napsioczyć.

„No, teraz dowiem się, czy ten facet ze złamanym nosem jest oficerem milicji" — pomyślała.

Posterunek mieścił się w piętrowym domu, tuż obok poczty. Do wejścia prowadziły kamienne schodki, dobrze już wyżłobione i wyszlifowane butami. Kiedy stanęła przed drzwiami, zawahała się.

„Czy to warto się narażać? — rozważała. — A jeśli on jest naprawdę oficerem i zacznie mnie wałkować w sprawie niewinnej figurki?" — Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z milicją, a komisariat kojarzył się jej z przestępczymi typami, o których czytało się w gazetach.

Wnet jednak opanowała się.

„Raz kozie śmierć. Przecież mnie nie aresztują ani nie wezmą na tortury".

Pchnęła ciężkie drzwi i wnet znalazła się przy okienku dyżurnego.

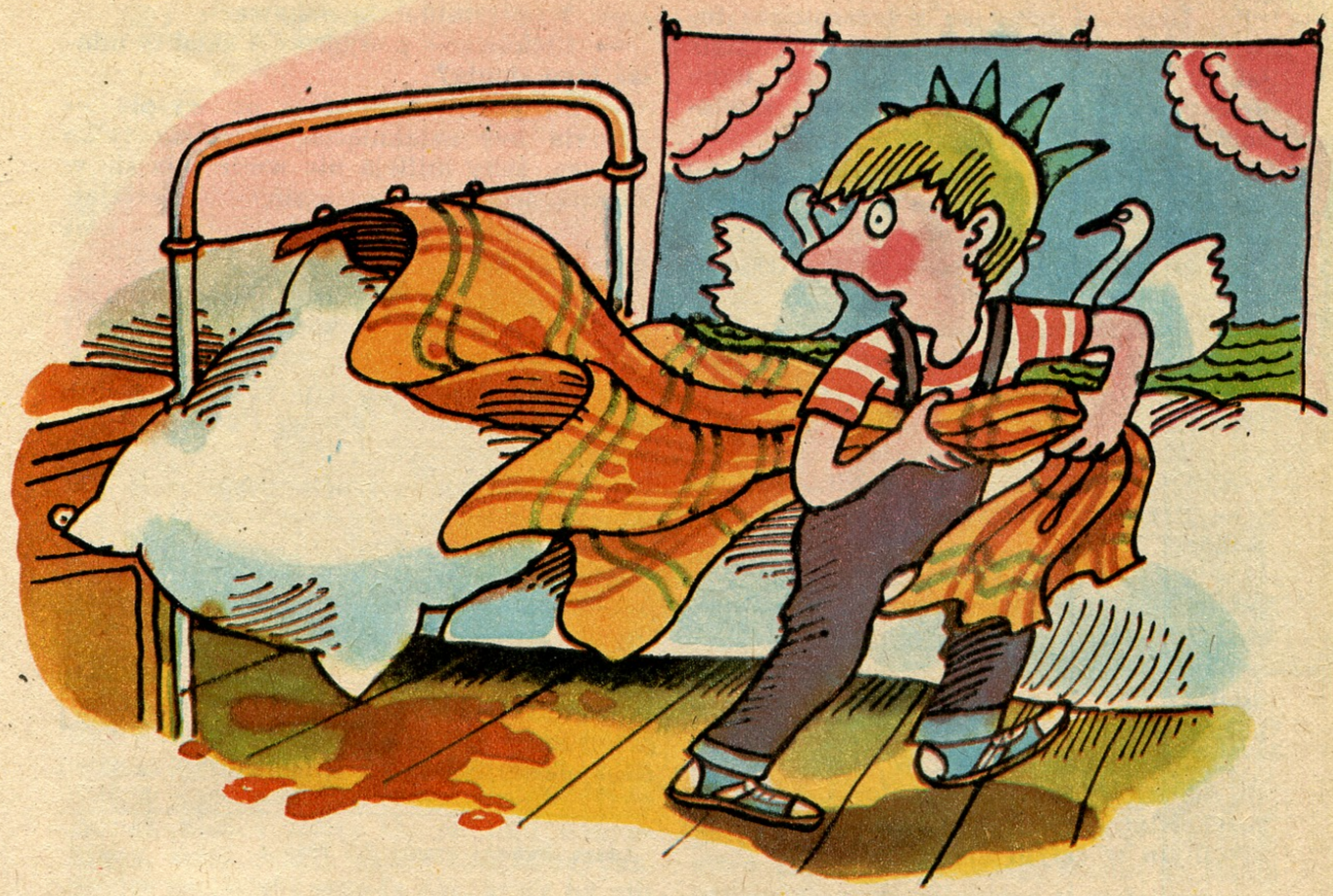

Na jej widok plutonowy przybrał urzędowy wyraz twarzy.

— W jakiej sprawie? — zapytał krótko i oschle.

— Ja... — Utknęła na chwilę, lecz obdarzona obrotnym językiem i świetnym refleksem, dokończyła: — Bo, proszę pana, dzisiaj na pomoście zaczepił nas pewien pan i odebrał mi figurkę porcelanową...

Milicjant przerwał jej.

— Chcesz złożyć meldunek?

— Nie, tylko ten pan powiedział, że jest oficerem milicji i zdmuchnął mi tańczącego słonia.

— Jakiego słonia? — zdziwił się plutonowy.

— Tańczącego — odparła mrużąc figlarnie oczy.

— Co ty opowiadasz, dziewczyno? Czy ty może jesteś z cyrku?

— Ach, nie... To nie był żywy słoń, tylko mała, porcelanowa figurka.

— Więc ten pan powiedział, że jest oficerem milicji?

— Tak.

— To mi się nie zgadza, bo u nas najwyższa ranga to starszy sierżant, komendant komisariatu.

— Z góry wiedziałam, że to oszust — wtrąciła rezolutnie.

— A jak on wyglądał?

— No... był wysoki, barczysty i przypominał boksera.

— Boksera?

— No tak, bo miał złamany nos.

Plutonowy spojrzał na nią podejrzliwie i powiedział:

— Ty coś fantazjujesz i kręcisz, bo u nas nie ma takiego ze złamanym nosem.

Zulejka uniosła dłoń jak do przysięgi.

— Daję słowo uczciwego detektywa.

Plutonowy widocznie nie miał poczucia humoru, gdyż zamiast roześmiać się lub zbyć to oświadczenie dowcipem, zmarszczył brwi.

— Czy ty wiesz, gdzie się znajdujesz?

— Na milicji.

— Tak. I proszę cię, nie stroj sobie żartów.

— Ja wcale nie stroję, tylko...

— Powiedz, czy chcesz złożyć meldunek?

— Nie. Teraz już wiem, że tamten facet zrobił z nas kosmiczne balony. I oświadczam panu, że ja mu tego nie da-

ruję. Dziękuję panu za wyczerpujące informacje — zakpiła. — A jak będę miała jakieś dowody rzeczowe przeciw temu przestępcy, to nie omieszkam was zawiadomić.

Plutonowemu zrzedła nieco mina, chciał coś powiedzieć, lecz z boku wyłonił się drugi milicjant. Nie był zapewne na służbie, gdyż miał rozpiętą bluzę, a w ręce trzymał dzbanek do parzenia kawy.

— Zaraz, zaraz — zatrzymał gotową do odejścia Zulejkę. — Mówisz, że to była porcelanowa figurka przedstawiająca słonia?

— Tak... tańczącego słonia.

Milicjant zwrócił się do plutonowego.

— Przypominasz sobie tę sprawę z Kizoniem?

— Tym, co bez koncesji wyrabiał porcelanowe słonie i sprzedawał je prywaciarzom? To było przecież tamtego lata.

— Zgadza się, tylko nie wiem, czy pamiętasz, ten gość zniknął jak kamfora, a potem poszukiwali go w całej Polsce.

Zulejka zamieniła się w słuch. Starała się nie stracić ani jednego słowa, a gdy ten rozchełstany wspomniał o osobniku poszukiwanym w całym kraju, zawołała:

— To piramidalnie ciekawe.

— Ciekawe — podjął. — A skąd ty miałaś tego słonia?

— Po prostu znalazłam na wyspie — odparła bez zająknięcia. Skłamała tylko dlatego, żeby milicja nie wmieszała się w sprawę, którą ona sama chciała rozwikłać.

— No tak — wtrącił plutonowy — ktoś mógł zgubić.

— Zaraz, zaraz — powiedział ten drugi. — To bardzo ciekawe... — Urwał i spojrzawy na Zulejkę, skinął jej głową.

— Dziękujemy ci, a gdybyś coś ciekawego dowiedziała się o tej figurce, to nas zawiadom.

— To się wie — rzuciła pospiesznie. Zakręciła się na pięcie, wyszła szybko z komisariatu, a gdy znalazła się na ulicy, zagrała na nosie: — Trele, morele, nic wam nie powiem, bo nie jestem taka głupia, żeby się potem dzielić sukcesem!

Adam Bahdaj

Rys. Jerzy Flisak *(Ciąg dalszy nastąpi)*

Adam Bahdaj zmarł 7.V.1985 r.

SŁOŃCE — NIE TYLKO DAWCĄ ŻYCIA

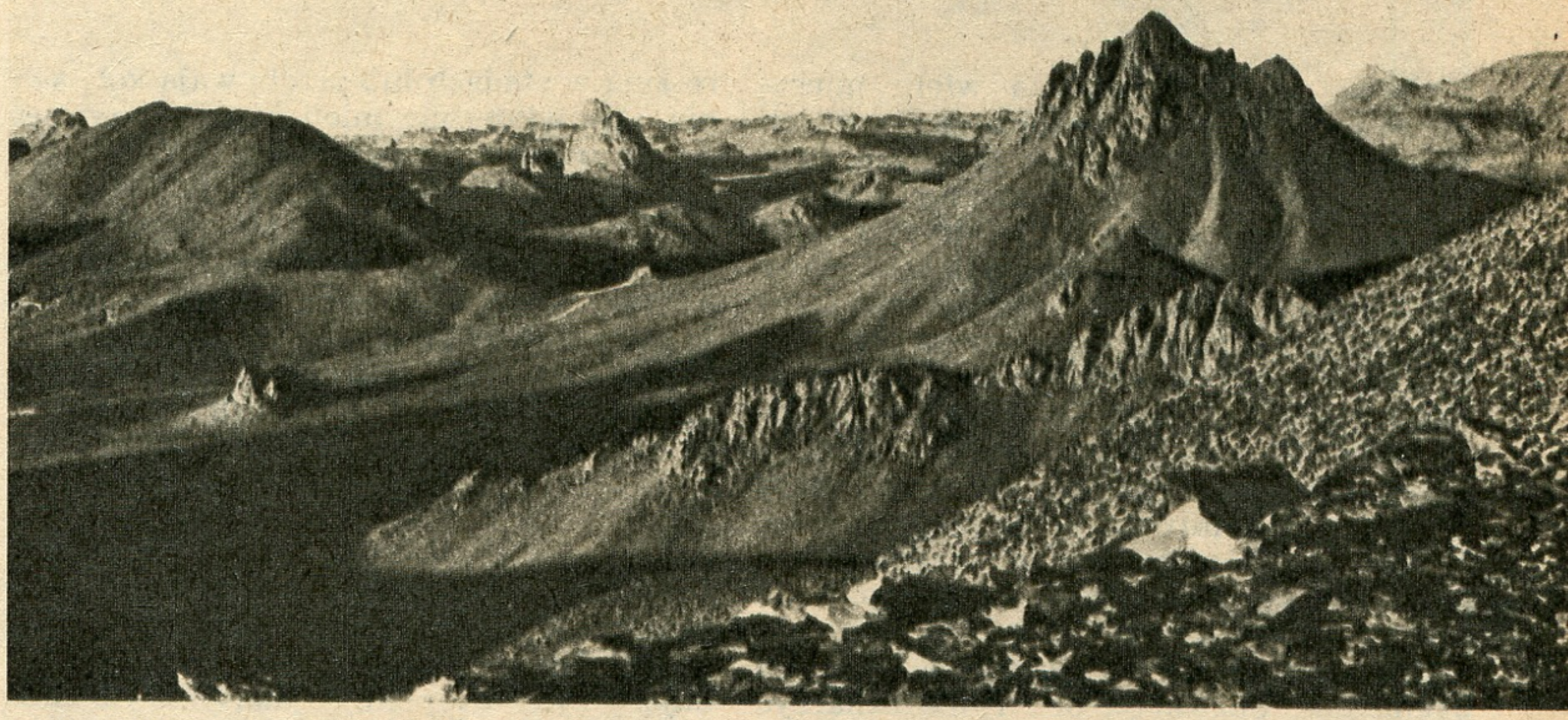

Ponad kamienną pustynią świeci Słońce. Skały rozgrzewają się tak silnie, że parzą przy dotknięciu, a w piasku koło nich można ugotować jajko na twardo. Gdy jednak Słońce zbliża się do linii widnokręgu, temperatura spada bardzo szybko. Słońce zachodzi i zapada noc, która na pustyni jest przeraźliwie zimna. Ściany skalne i ogromne głazy, leżące u ich podnóży, stygną szybko i aż do wschodu Słońca pozostają zimne. Nowy dzień przynosi jednak ze sobą nową falę upału, a skały rozpalają się ponownie. Mija jeszcze jeden dzień i jeszcze jedna noc...

I oto pewnego dnia ściana skalna pęka nagle z ogłuszającym hukiem. Gigantyczne odłamy skalne spadają w dół, wraz z nimi sypie się gruz. Ściana pękła, choć aby ją rozbić uderzeniem, trzeba by mieć siłę olbrzyma. Dlaczego tak się stało?

Już przed wiekami rolnik, napotykając na swym polu ogromny głaz, stawiający jego własnym siłom nieprzezwyciężony opór, nie opuszczał rąk w geście rozpaczy. Obok głazu rozpalał wielkie ognisko, a gdy głaz rozgrzał się silnie, w celu nagłego ochłodzenia polewał go wodą. Czynność tę powtarzał raz po raz wielokrotnie tak długo, aż głaz pękł z hukiem na drobne części. Te odłamki można było już bez większych trudności usunąć przy pomocy zwierząt pociągowych.

Każde ciało pod wpływem ogrzania zwiększa swoje rozmiary, różne jednak materiały zwiększają je w niejednakowym stopniu. Przy takim samym ogrzaniu jedne z nich powiększają się bardziej, a inne mniej. Odwrotne zjawisko ma miejsce podczas ochładzania, następuje wówczas zmniejszenie rozmiarów ochładzanych ciał. Ściana skalna, podobnie jak głaz leżący na polu rolnika, zbudowana jest z drobnych ziarn różnych substancji, ciasno do siebie przylegających. Niektóre z nich przy ogrzaniu powiększają się bardziej od innych i jak gdyby „rozpychają się" w skale. Po gwałtownym ochłodzeniu ziarna te zmniejszają się ponownie. Pomiędzy nimi a ich sąsiadami powstają drobne szczelinki, które w trakcie kolejnych zmian temperatury powiększają się, aż wreszcie skała rozsypuje się na kawałki. W taki właśnie sposób rolnik pokonał głaz — zawalidrogę, taka też była przyczyna pęknięcia skalnej ściany na pustyni.

Duże różnice temperatur pomiędzy dniem a nocą występować mogą tam, gdzie przez cały dzień Słońce świeci nieprzerwanie, a odsłonięty teren sprzyja szybkiemu ochładzaniu w nocy. Takie właśnie warunki występują na obszarach pustynnych, gdzie padający deszcz czy nawet zachmurzone niebo są rzadkością. Tu przede wszystkim rozwija Słońce swą niszczycielską działalność. Powierzchnia pustyni często pokryta jest spękanymi blokami i gruzem skalnym, a nieubłagane Słońce kruszy ten gruz na coraz drobniejsze cząstki — powstaje żwir i piasek. Porywy pustynnego wiatru przetaczają te ziarna w różnych kierunkach.

Jacek R. Kasiński

Repr. Stefan Rutkowski

RYBY KORALOWE

Cechą charakterystyczną wielu mieszkańców podwodnej rafy koralowej jest ich niezwykłe ubarwienie. Tak pięknych, czystych i jaskrawych kolorów nie spotyka się w innym środowisku. Wiele ryb żyjących na obszarze rafy wygląda tak, jakby były wycięte z plakatu reklamowego. Okazało się, że im piękniej ubarwiona jest rybka, tym bardziej wojownicze i nietowarzyskie ma usposobienie. Taka ślicznotka na widok innego przedstawiciela swojego gatunku wpada w prawdziwą pasję i stara się przepędzić intruza, gdzie pieprz rośnie. I jeżeli jej równie piękny krewniak nie wyniesie się dość szybko, ich spotkanie kończy się prawdziwą walką.

Jaskrawe kolory są niezwykle ważnymi sygnałami. Pozwalają one rybie oznaczyć granice jej... posiadłości. Uwijająca się wzdłuż wybranego odcinka rafy ryba jest widoczna już z daleka, a jej migające kolory znaczą tyle samo, co napis: „Uwaga! Ten teren ma już właściciela; Obcym rybom wstęp wzbroniony!!" I najczęściej intruz rezygnuje ze swoich pretensji.

Nie każda „obca" ryba jest niemile widzianym gościem. Właściciel broni swego kawałka rafy jedynie przed przedstawicielami własnego gatunku. Osobniki należące do innego gatunku mogą przepływać przez cudzy zajęty teren.

Nie wszystkie barwne ryby są aż tak nietowarzyskie. Obszary rafy zamieszkują także liczne gatunki kolorowych ryb, które żyją w stadach lub przebywają koło siebie. Ale gdybyście mieli okazję przyjrzeć się im uważnie, z pewnością dostrzeglibyście pewną różnicę. Tak zwane „plakatowe" ryby mają zdecydowane, często kontrastowe kolory, i wyraźnie zaznaczone kontury plam. Barwy te nie zmieniają się bez względu na porę roku czy nastrój zwierzęcia. Natomiast charakterystyczną cechą „pokojowo" nastawionych ryb koralowych są barwy bardziej pastelowe i stonowane.

BARWNA PRZESTROGA

Piękne barwy niekoniecznie służyć mają oznaczeniu granic rybiego terytorium. Niektóre, z pozoru zupełnie niewinnie wyglądające ryby dysponują jakąś ukrytą bronią: są trujące, bądź niesmaczne, mają jadowite wypustki itp. Błękitna „ryba chirurg" zawdzięcza swą nazwę dwu ostrym kolcom, przypominającym nieco z wyglądu chirurgiczny skalpel. Kolce znajdują się u nasady ogona i w walce stanowią bardzo groźną broń. W tym przypadku jaskrawe barwy pozwalają rybie nie tylko zawiadomić innych o swojej obecności, ale jednocześnie „ostrzegają" potencjalnych napastników, że kolorowy osobnik nie jest bezbronny.

Dziwaczna w kształcie ryba, której płetwy mają ostre wyrostki, jest bardzo jadowita i jej jad jest niebezpieczny zarówno dla wodnych stworzeń, jak i dla ludzi.

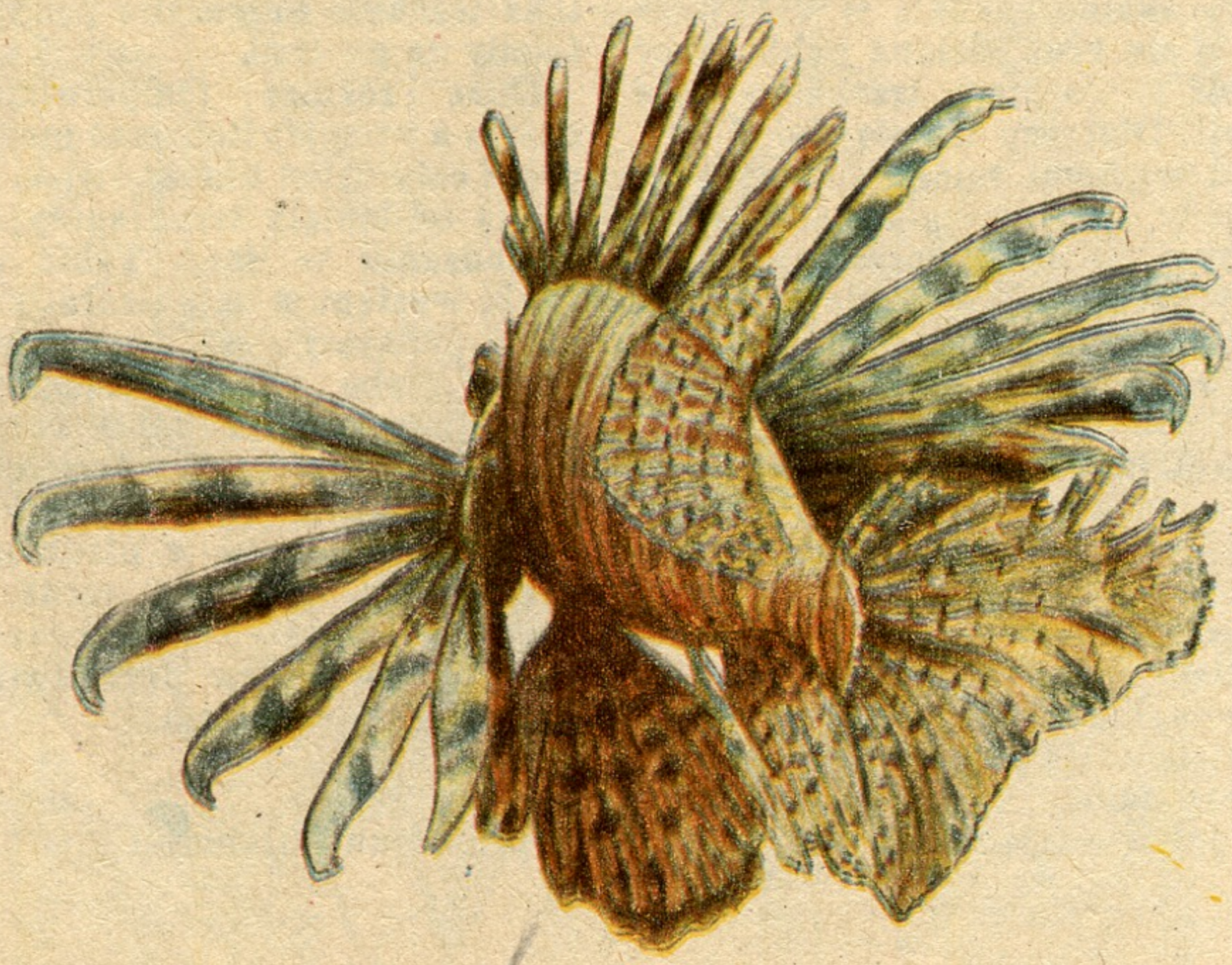

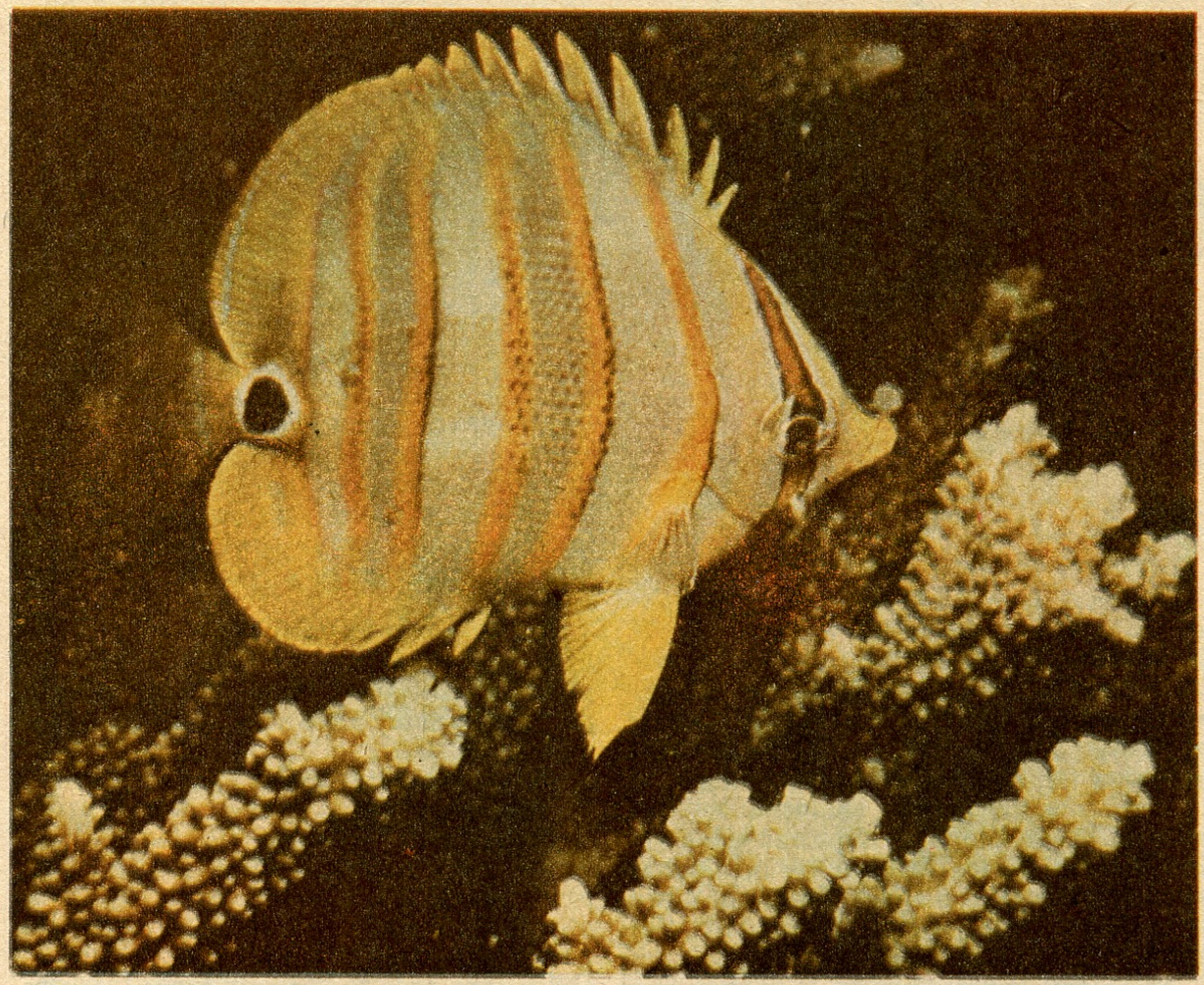

FAŁSZYWE OKO

Niekiedy nawet drobne, pozornie nieistotne cechy: niewielkie kropki, paski, charakterystyczny deseń, mają dla życia ryby wielkie znaczenie. Ciemna plama znajdująca się u nasady ogona ryby-motyla wygląda zupełnie jak... oko. Identyczna „kropka" umieszczona jest symetrycznie po drugiej stronie ciała rybki. Te „fałszywe ślepia" sprawiają, że często w pierwszej chwili trudno jest zorientować się, gdzie jest przód, a gdzie tył zwierzęcia. I o to właśnie chodzi. Napastnik może się po prostu pomylić, zawahać lub skierować atak nie w to miejsce, gdzie trzeba. Taka pomyłka może uratować życie rybie-motylowi.

„Fałszywe oczy" nie są charakterystyczną cechą wyłącznie tego gatunku. Podobne ozdoby występują również i u innych przedstawicieli rybiego rodu oraz u owadów. Ich sens jest podobny: mają na celu zmylenie lub przestraszenie wroga.

ZMIANY BARW

Pewne drapieżne ryby mają zdolność zmiany barwy i upodabniania się kolorami do innych, niedrapieżnych ryb. Wmieszane w ich gromadę płyną sobie bezkarnie wzdłuż rafy i wypatrują ofiary. Dostrzegłszy ją, atakują znienacka i najczęściej polowanie im się udaje.

DZIENNA I NOCNA ZMIANA

Wraz z nastaniem zmroku te ryby, które żerują w dzień, udają się na spoczynek. Kryją się w szczelinach, jamach i załamkach rafy. Nieliczne gatunki nocą tracą również kolory: blakną i stają się niepozorne. Na ich miejsce przypływają te ryby, które są aktywne nocą. Z reguły są one nie tak pięknie ubarwione, ale niektóre z nich mają zdolność świecenia.

Tekst i rys. Anna Siwkiewicz
Repr. kol. Stefan Rutkowski

PIERWSZE SERYJNE SAMOCHODY

Pierwsze samochody zbudowano w końcu XIX wieku w małych warsztatach. W każdym warsztacie zaledwie kilka pojazdów jednego typu. Była to bardzo mozolna praca, należało wykonać wiele rozmaitych części, zazwyczaj ręcznie, bo nie było wówczas odpowiednich narzędzi i maszyn.

Wyrób pojedynczych samochodów kosztował drogo, mogli je kupować tylko ludzie bardzo bogaci. Zainteresowanie samochodami jednak wzrastało. Powstały nowe wytwórnie, przybywało samochodów. Samochód zaczął wygrywać w rywalizacji z pojazdami zaprzęgowymi, konnymi.

Wzrastająca popularność samochodów powodowała, że ich producenci intensywnie myśleli nad tym, w jaki sposób ulepszyć sposoby wytwarzania. Chcieli produkować szybciej i więcej samochodów. Przekonano się wkrótce, że szybciej można zbudować samochód, jeśli składa się go z części zrobionych u różnych wytwórców. Powstały więc warsztaty specjalizujące się w produkcji części samochodowych. Kto inny robił np. lampy oświetlające drogę, kto inny ogumienie, a jeszcze ktoś inny śruby.

Wiemy z poprzednich odcinków naszego cyklu, że samochód wynaleziono w Europie. Ale jako popularnego pojazdu zaczęto go najwcześniej używać w Stanach Zjednoczonych.

W fabryce „Olds Motor" już w 1904 roku Amerykanie wyprodukowali 5500 sztuk samochodów. Produkcję seryjną podjęły także inne wytwórnie amerykańskie, montując samochody z identycznych części zamiennych. Było to znaczne osiągnięcie, ale koszty produkcji nie były na tyle niskie, aby można było samochody tanio sprzedawać. Zastanawiano się dalej nad sposobem, jak można by taniej i szybciej budować samochody.

Widząc duże zapotrzebowanie na samochody, przemysłowiec Henry Ford zaczął w swojej fabryce produkować prosty w budowie i wytrzymały samochód nową metodą. W 1913 roku uruchomił bowiem przesuwającą się taśmę montażową. Wzdłuż taśmy ustawił stanowiska robocze. Do tych stanowisk dostarczane były części. Robotnicy pracujący na pierwszym stanowisku układali na taśmie montażowej najważniejszy element samochodu — ramę nośną. Taśma montażowa przesuwała się, do ramy wmontowywano na kolejnych stanowiskach różne części: resory, koła,

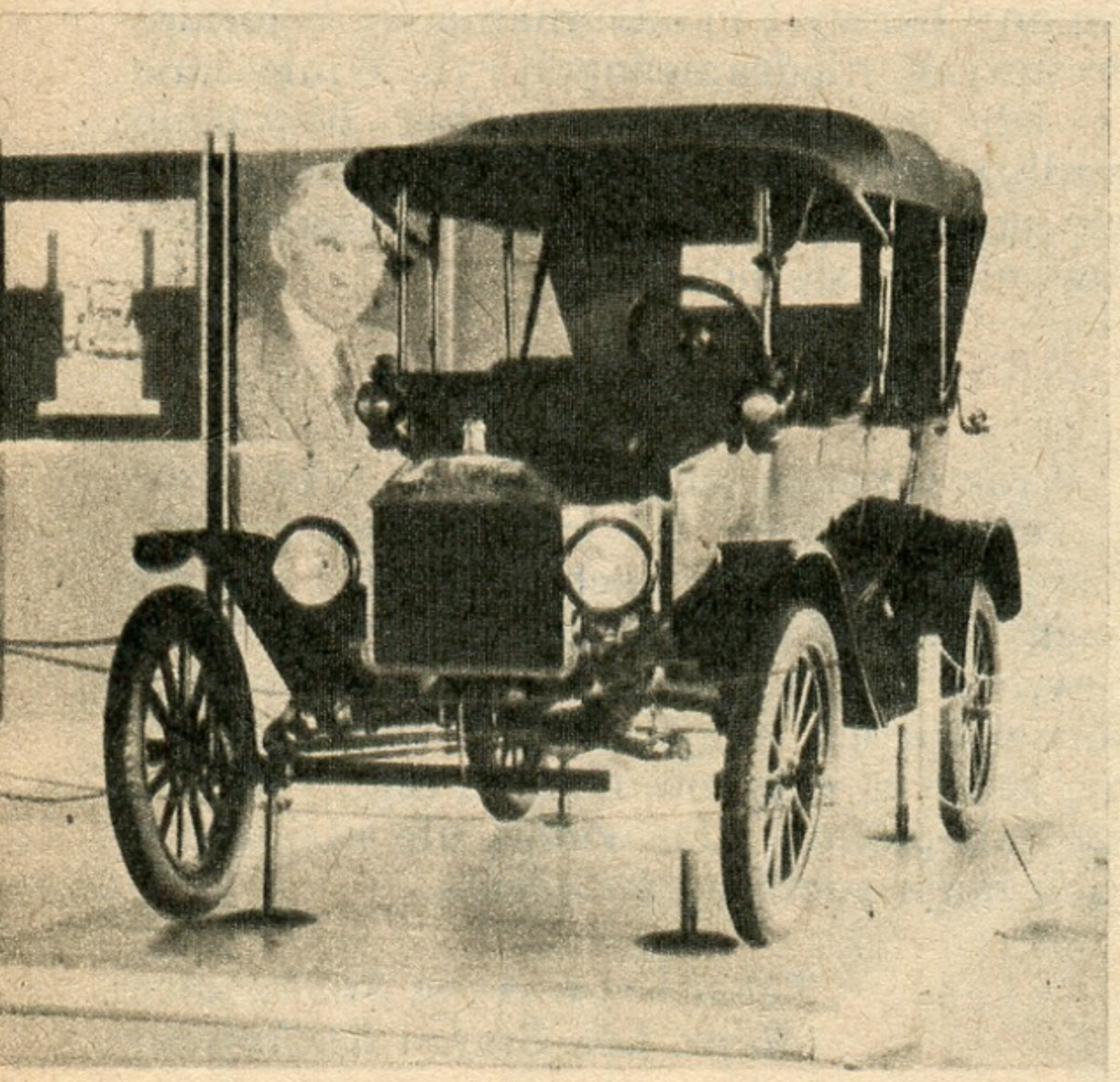

Pierwszy seryjnie produkowany samochód świata, słynny Ford T, przechowywany jest w muzeum. Obok samochodu widoczna jest podobizna pana Henry Forda

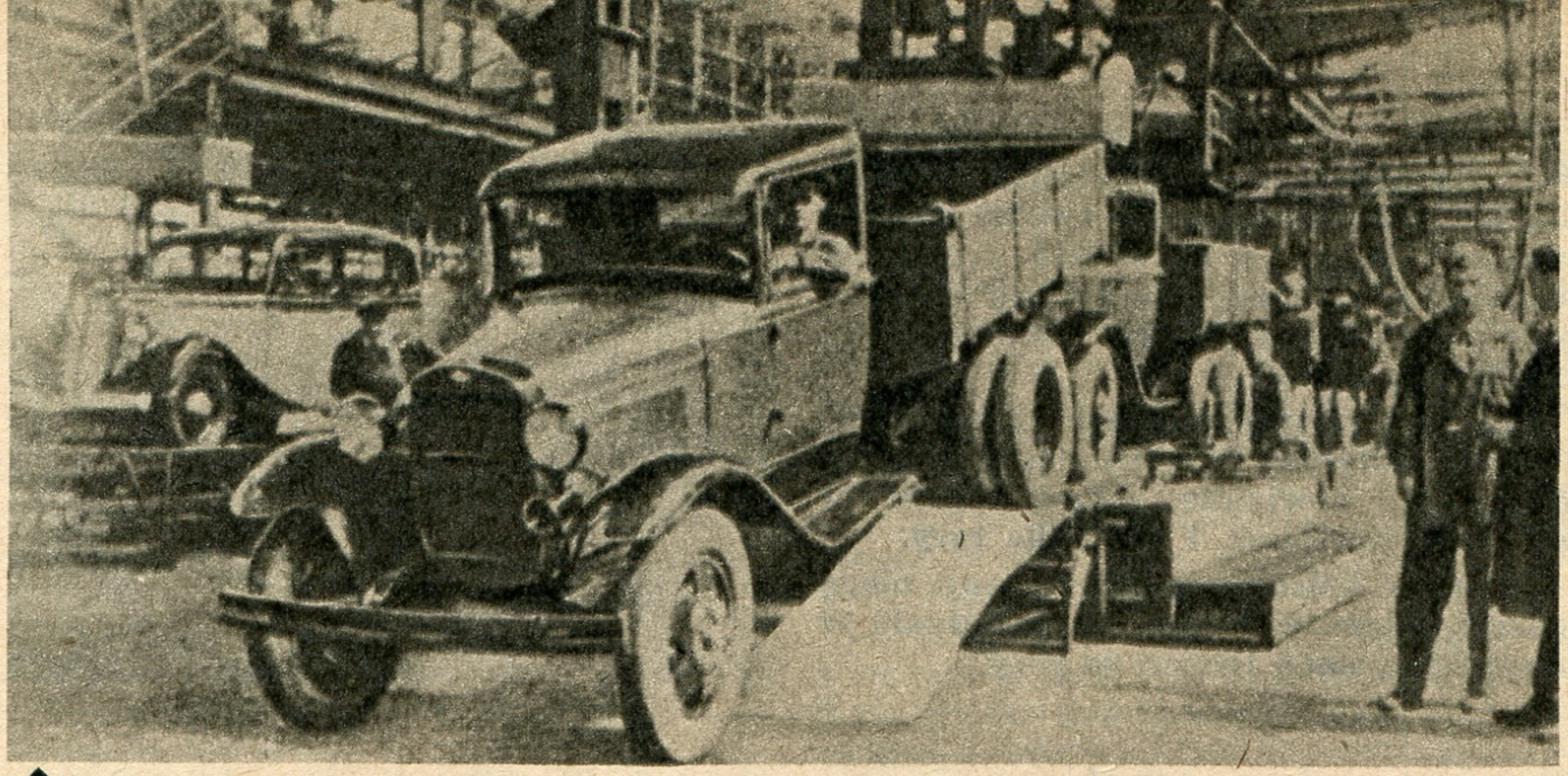

Na zamówienie złożone przez Związek Radziecki Ford wybudował w 1932 roku wielką fabrykę w miejscowości Gorkij. Produkowano tam w długich seriach samochody osobowe i ciężarowe, składając je na przesuwającej się taśmie montażowej

błotniki itd. Przybywało części, na taśmie pojawił się kompletny samochód. Na każdym stanowisku robotnicy wykonywali powtarzające się czynności, dochodzili do dużej wprawy, wykonywali pracę szybko, sprawnie. Tym samym szybko powstawały samochody. Gotowe pojazdy, jeden za drugim, w odstępach zaledwie kilku minut, wyjeżdżały z fabryki. Wprowadzono sprawniejsze narzędzia i urządzenia pomagające w pracy, zbudowano kilka taśm montażowych. Praca robotnika stawała się lżejsza, samochodów było coraz więcej.

W 1917 roku Ford wyprodukował 716 tysięcy samochodów, a w 1923 roku wyjechało z Fordowskiej fabryki ponad 2 miliony samochodów. W miarę wzrostu liczby budowanych samochodów ich cena malała. Samochód „Ford T" był tani, mogło go kupić wielu ludzi.

Podobno na pomysł produkcji seryjnej samochodów na taśmie montażowej Ford wpadł po obejrzeniu fabryki zegarków. Niezależnie od tego, jak do tego doszło, zrealizował swój pomysł dokładnie stając się pionierem produkcji samochodów w wielkich seriach. Przyczynił się do rozwoju motoryzacji na świecie. Za przykładem Forda, szybką metodę seryjnej produkcji wprowadzono w wielu fabrykach. Od Forda nauczył się tej metody pan André Citroën i jako pierwszy zastosował ją w Europie. O samochodach Citroëna napiszemy następnym razem.

Obecnie samochody produkuje się w wielkich seriach, specjaliści twierdzą nawet, że serie poniżej 100 tysięcy samochodów osobowych rocznie nie są opłacalne. Wyjątek stanowią samochody „Rolls-Royce", ale one są wyjątkowo drogie.

Zdzisław Podbielski
Fot. autora i FSO

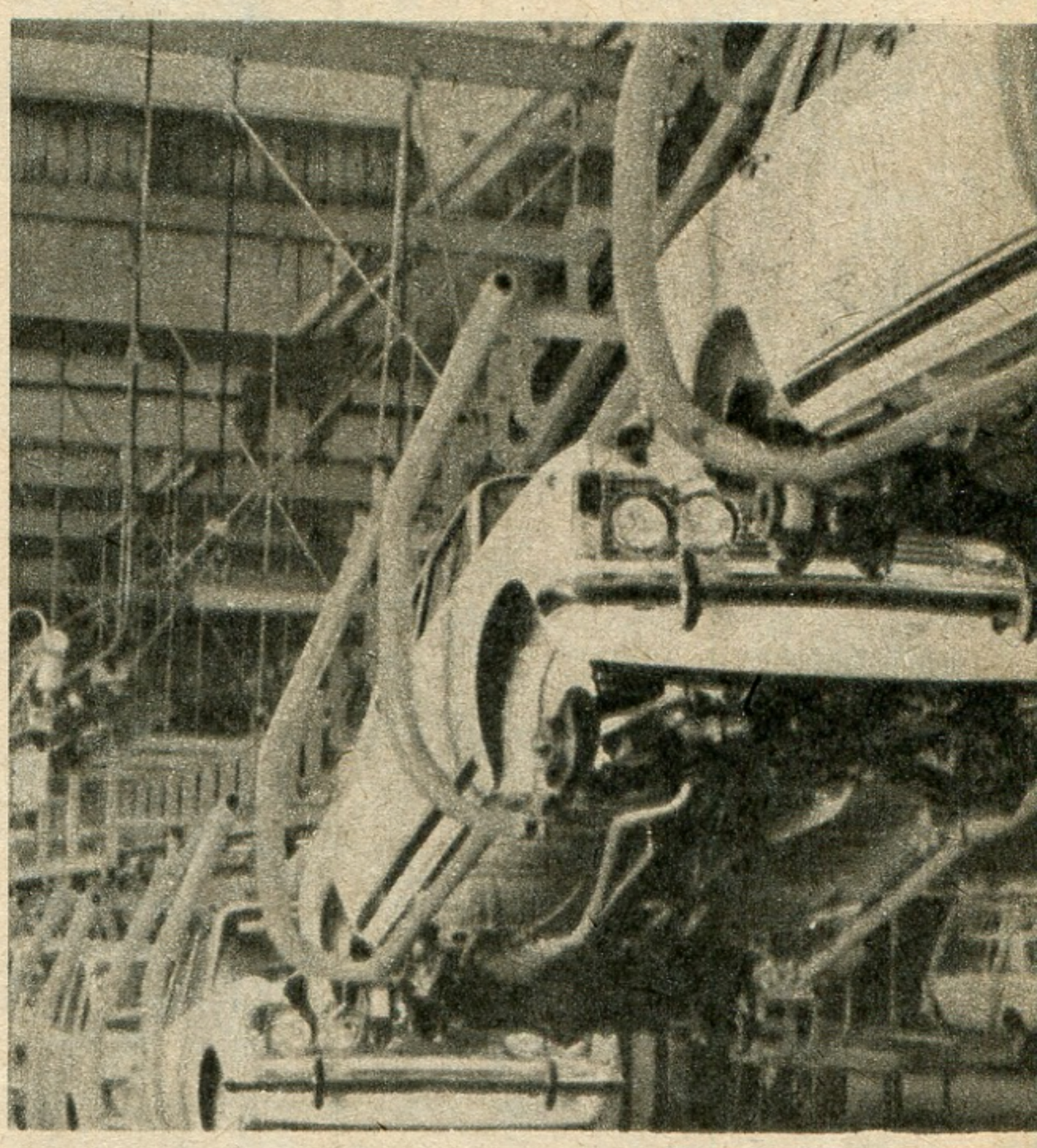

Linia montażowa współczesnych samochodów Polski Fiat 125 p w warszawskiej fabryce

Uczyć się pływać, a właściwie oswajać się z wodą, można w swojej własnej wannie. Ćwiczenia są bardzo proste. W wannie możemy np. nauczyć się otwierać oczy pod wodą (oczywiście woda musi być czysta, bez mydła).

Przede wszystkim jednak trzeba nauczyć się oddychać przebywając w wodzie. Zaczerpnąć powietrza, schować głowę i wypuścić powietrze. I tak kilka razy.

Dla osób, które mają duże wanny, mogę polecić ćwiczenie polegające na leżeniu w pozycji poziomej, twarzą do góry.

Tak radzi Sekretarz Generalny Zarządu Głównego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Warszawie pan WOJCIECH PŁÓCIENNIK.

Oswajaj się z wodą!

— Wiemy już, co robić przed wyjazdem nad morze lub jeziora, a jak zachować się gdy jesteśmy już nad wodą?

— Kąpać się tylko w miejscach wyznaczonych na kąpielisko, gdzie jest ratownik! Pamiętać także o najważniejszych zasadach:

- **nie wolno raptownie wchodzić do wody po dłuższym przebywaniu na słońcu**
- **nie wolno wchodzić do wody bezpośrednio po obfitym posiłku**
- **nie wolno skakać na głowę do rzeki, jeziora, stawu**
- **nie wolno wrzucać i wpychać innych do wody**
- **nie wolno kąpać się na wodach otwartych, gdzie jest tablica z napisem „kąpiel wzbroniona"**
- **nie wolno kąpać się wtedy, gdy wywieszona jest czarna flaga**

— Co ten czarny kolor oznacza?

— To, że warunki atmosferyczne, np. niska temperatura wody, powietrza, duży wiatr, a także wysoka fala, nie pozwalają na bezpieczną kąpiel.

— Na każdym kąpielisku strzeżonym i na pływalni jest ratownik, po czym go poznać?

— Każdy ratownik Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego ubrany jest w pomarańczową koszulkę lub czepek z napisem „ratownik" i emblematem WOPR-u. Jego zadanie polega na obser-

wowaniu kąpiących się i w razie potrzeby na udzielaniu im pomocy.

Ratownicy prowadzą również naukę pływania i organizują egzaminy na kartę pływacką.

— Kto może zostać ratownikiem?

— Młodszym ratownikiem może zostać każdy chłopak lub dziewczyna już w wieku 14 lat, jeżeli oczywiście doskonale pływa i ma kartę pływacką. Młodszy ratownik jest jakby asystentem ratownika: obserwuje teren, udziela porad dzieciom i swoim rówieśnikom. Natomiast ratownikiem może zostać po skończeniu 18 lat i zdobyciu innych uprawnień.

— Co powinniśmy zrobić, jeżeli zauważymy, że ktoś tonie?

— Trzeba przede wszystkim zawiadomić ratownika lub osobę starszą mogącą udzielić pomocy. Jeżeli nikogo w pobliżu nie ma i decydujemy się ratować tonącego sami, to najlepiej podać mu kij, deskę lub dużą chustkę. W żadnym wypadku nie należy podawać ręki, gdyż tonący może nas wciągnąć do wody.

— A co mamy robić, gdy nam usuwa się grunt pod nogami?

— Podstawowa zasada — to nie wpadać w panikę. Ograniczyć gwałtowne ruchy i ułożyć się w pozycji poziomej, twarzą do góry i wzywać pomocy. A jeżeli umiemy trochę pływać, to lekkimi, powolnymi ruchami rąk kierować się do brzegu.

— Co jeszcze na zakończenie naszej rozmowy chciałby pan powiedzieć czytelnikom „Płomyczka"?

— Żeby przez cały rok oswajali się z wodą w wannie, jak najszybciej nauczyli się pływać pod fachową opieką osób dorosłych i żeby podczas kąpieli zachowywali się rozsądnie i z rozwagą. Bardzo bym się oczywiście cieszył, gdyby wielu z nich wyrosło na dobrych ratowników.

Rozmawiała Elżbieta Wrzecionkowska
Fot. M. Czernik, archiwum

Labirynt literacki

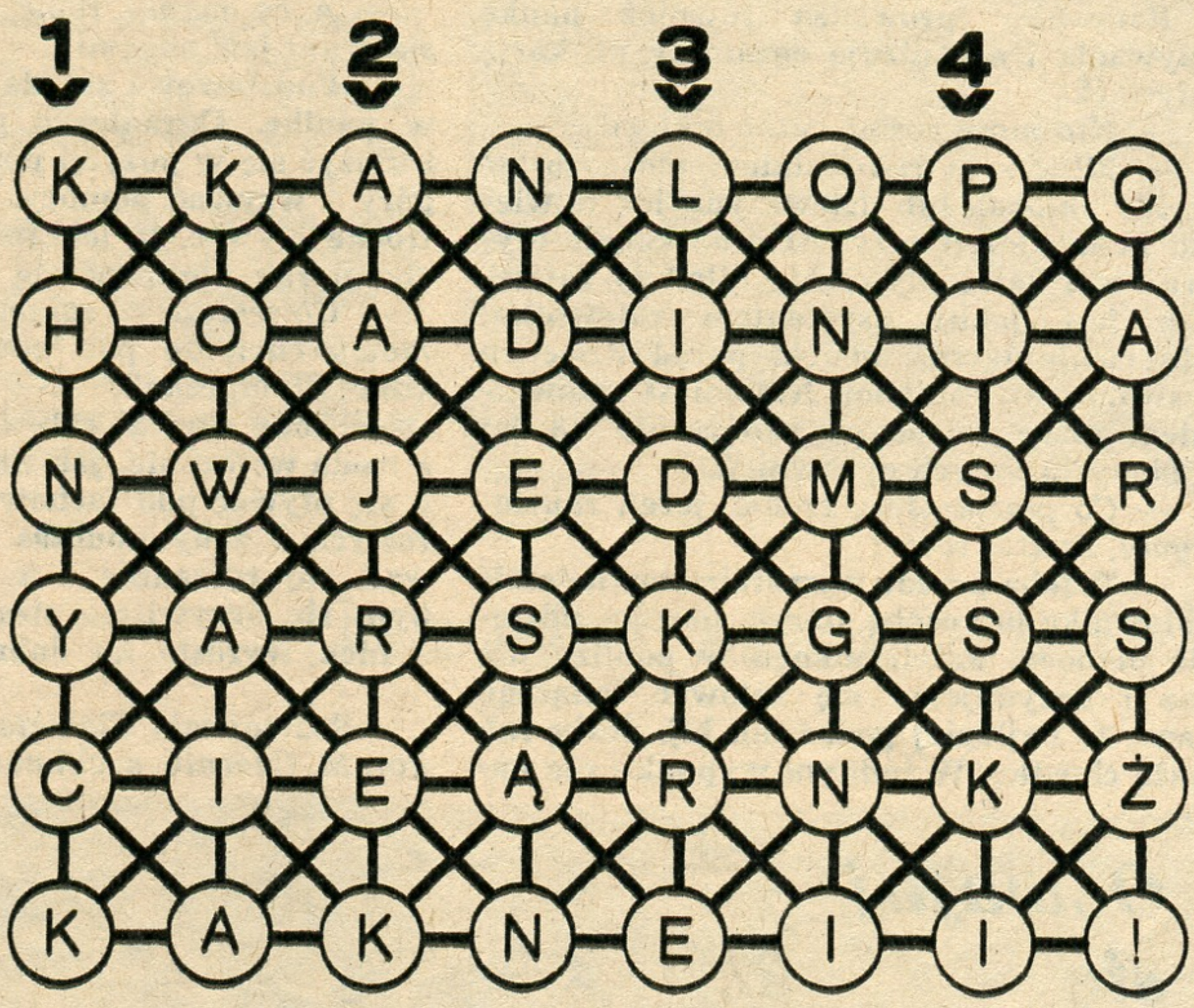

Ustalcie nazwiska autorów następujących książek: 1. Plastusiowy pamiętnik, 2. Dziecię elfów, 3. Dzieci z Bullerbyn, 4. O psie, który jeździł koleją.

Następnie wykreślcie w labiryncie litery tworzące te nazwiska (pierwsze ich litery wskazują strzałki). Po labiryncie można poruszać się we wszystkich kierunkach (w dół, w górę, w bok, ukośnie), ale zawsze tylko o jedno miejsce.

Litery, które zostaną nie skreślone, czytane poziomo, utworzą dwuwyrazowe rozwiązanie.

Przyjrzyjcie się uważnie i policzcie, w której stercie jest więcej klocków.

KLOCKI

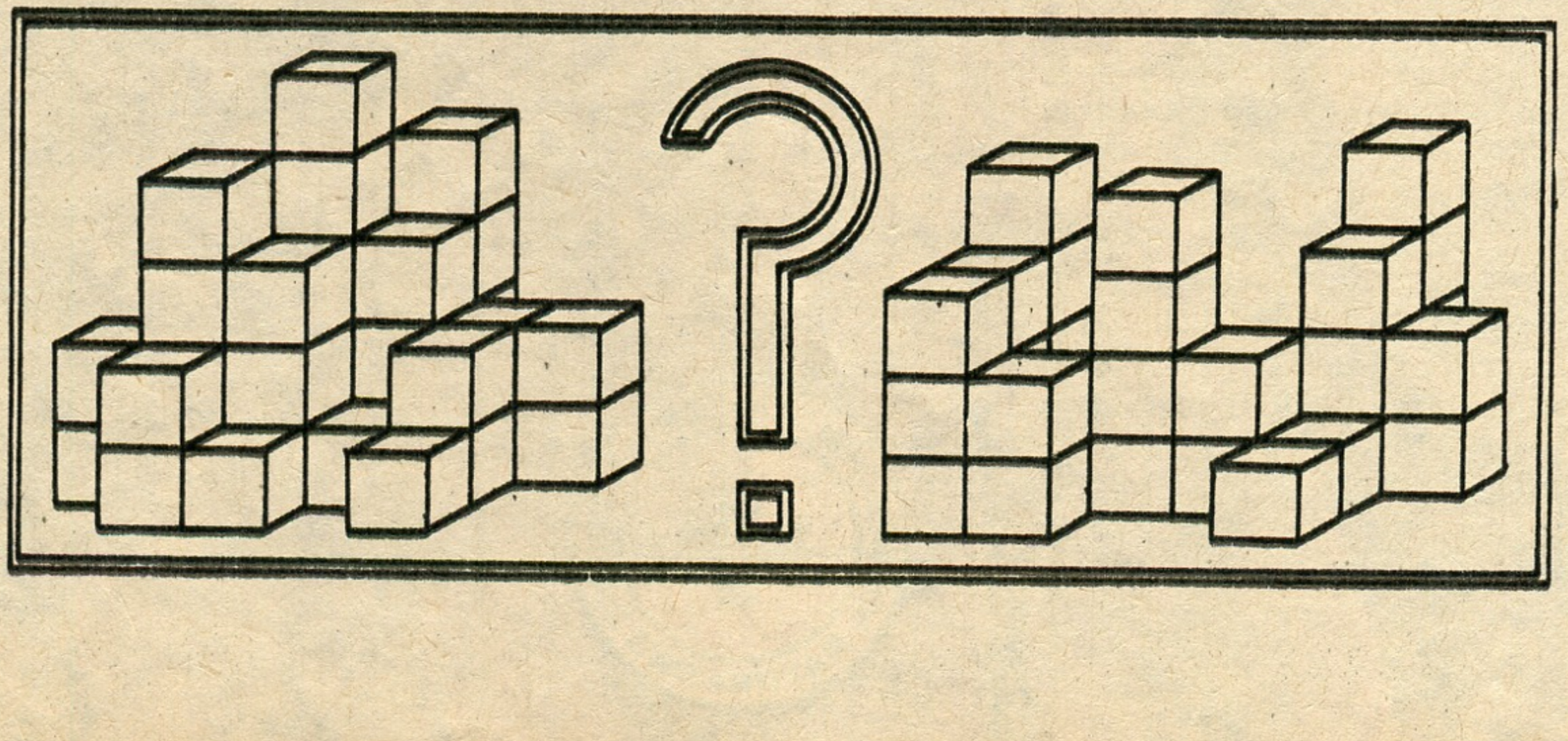

ZAGADKI

1 Pomyśl, a łatwa
Będzie zagadka:
Kim jest syn syna
Twojego dziadka?

2 Jeżeli wśród upału
Potrzebujesz chłodu,
Nazwa polskiej rzeki
Da ci trochę lodu.

Ryszard Przymus

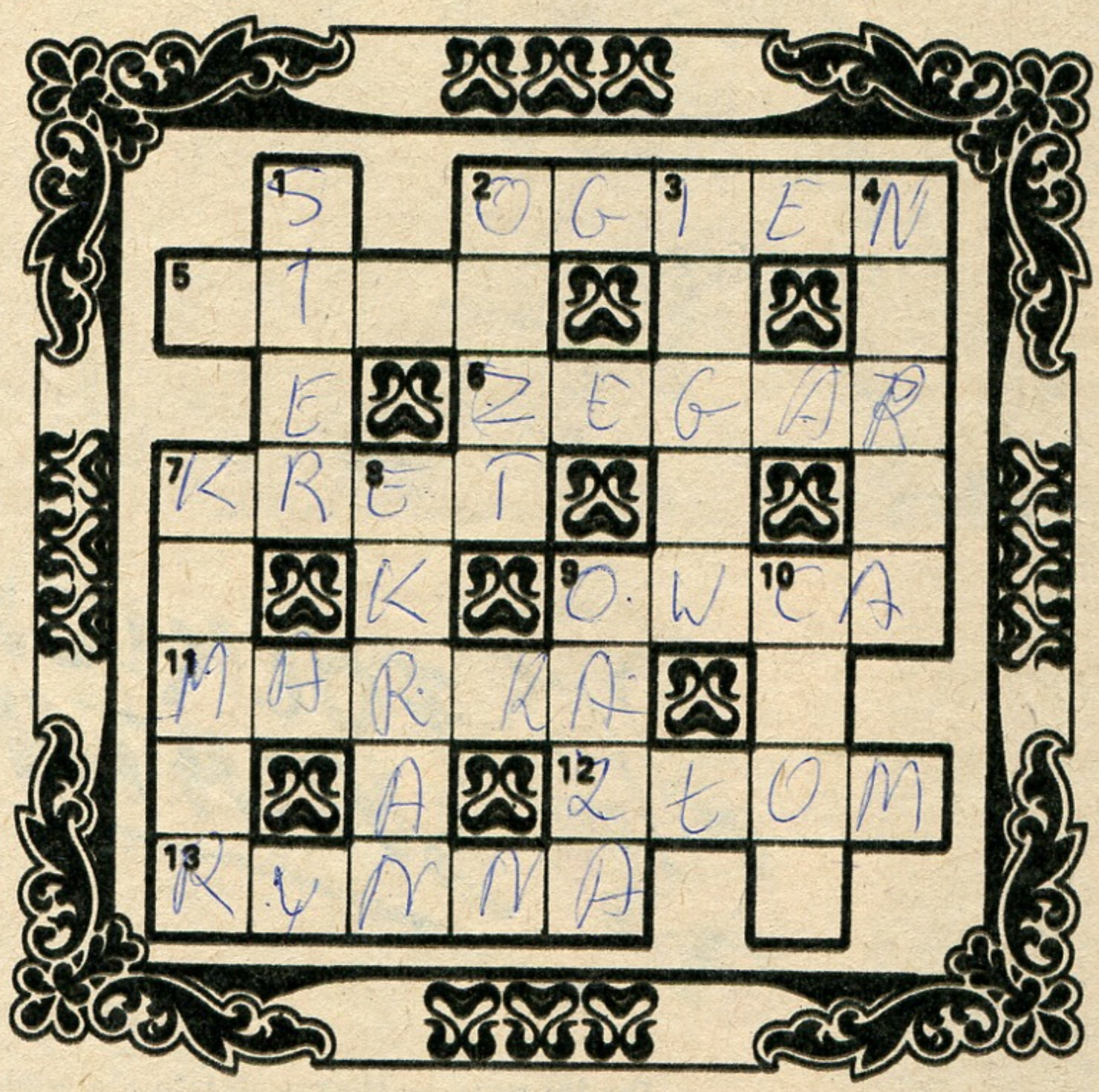

KRZYŻÓWKA

Do kratek krzyżówki wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 2. pali się!, 5. mebel, 6. wisi na ścianie, 7. żyje w podziemnych korytarzach, 9. daje wełnę, 11. „rasa" samochodu, 12. stare żelastwo, 13. z niej leci deszczówka.

Pionowo: 1. kierownica statku, 2. rodzaj ogrodzenia, 3. ptak przy studni, 4. inaczej witka, 7. bzyka koło ucha, 8. jest w kinie lub w telewizorze. 9. zielone miejsce na pustyni, 10. mocne uderzenie.

ROZWIĄZANIE Z NRU 10

Krzyżówka. Poziomo: 3. drwal, 5. ząb, 6. łyżka, Pionowo: 1. grzyb, 2. żabka, 4. wąż.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Władysław Skalny (redaktor techniczny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1531/85 L-7

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

CENA 15 zł

FOLKLOR ŚWIATA

Do tej pory w Hiszpanii istnieje wiele odmian narodowego stroju. W każdej z nich znaleźć można pozostałości z zamierzchłych czasów. Barwna przeszłość Półwyspu Iberyjskiego, na którym mieszały się wpływy wielu narodowości i ras, spowodowała, że w ciągu wieków ludzie ukształtowali tam liczne odmiany strojów typowych dla rozmaitych regionów Hiszpanii. Stroje przedstawione na zdjęciach pochodzą z XIX wieku. Używa się ich podczas wykonywania tańców kastylijskich, popularnych we wsiach okręgu madryckiego, oraz tańców typowych dla historycznych krain — Estremadury i Aragonii.

Prezentowani na zdjęciach artyści to członkowie Zespołu im. Francisca de Goya działającego w Madrycie. W zespole tańczą i śpiewają zarówno studenci, jak i pracownicy naukowi Uniwersytetu Madryckiego.

Tekst i zdjęcia: Tadeusz Samborski